ROCZNIK VI. Nr. 11 (107). 15 MARCA 1907.

NOWE SŁOWO

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI.
WYDAWCZYNI I REDAKTORKA: MARYA TURZYMA.

KRAKÓW • REDAKCYA I ADMINISTRACYA: UL. SZUJSKIEGO 7.
PRENUMERATA KWARTALNA: 3 KOR. 1 RS. 50 KOP. 3 MAR. 3 FRAN. 50 CENT. ROCZNIE: 12 KOR. 6 RS. 12 MAR. 14 FRAN.

OD REDAKCYI.

Z powodu choroby redaktorki, która wyjechała do Warszawy w sprawach „Nowego Słowa“, numer dnia 1 marca nie wyszedł, natomiast dzisiejszy ma **podwójną objętość.**

Wobec tego, że pobyt redaktorki w Warszawie, musi przedłużyć się do kilku tygodni, najbliższe numera wyjdą również raz na miesiąc 15-go w podwójnej objętości.

O PRAWA RÓWNE I SPRAWIEDLIWE.

„Przyszedłem opowiadać więźniom wypuszczenie i wypuścić na wolność znędzone“.

On przyszedł wolność dać wszystkim, którzy tej wolności są pozbawieni.

Bo On wiedział, czem wolność jest dla człowieka.

I czem jest niewola.

On przyszedł wolność dać wszystkim —

I tym, którym egoizm silniejszych tę wolność odebrał — i tym, których przemoc brutalna jej pozbawiła — i tym, którzy w niewoli na skutek przesądów ciemnoty.

On przyszedł wolność dać wszystkim — bo chciał szczęścia wszystkich.

A bez wolności szczęścia niema —

Chyba nędzne, marne, łzawe — niewolnika, co tańczy w kajdanach — szczęście *sclavi saltantis.*

On przyszedł dać ją wszystkim — tę wolność — ten skarb nad skarby — ten konieczny warunek normalnego życia — i rozwoju — i postępu, i szczęścia.

I od Jego czasów — od czasu gdy On Ewangelię swą ogłosił, jużby niewoli żadnej być nie powinno.

I światby cały cieszyć się powinien — w blaskach złotych słońca wolności —

Ale wolności tej niema.

Świat z niewolników się składa —

I z niewolnic.

Dziś o wolność bój święty się toczy —

Wielka walka Tytanów —

Jutro mury więzienia, co się światem zowie — pęknąć muszą.

I mrok więzienny — w blask się zamieni jasny — a stęchlizna lochu — w powiew świeży, co życie da.

Bo walka taka zwycięstwem zakończyć się musi

Niechże tego przyszłego dnia wolności —

Niewola niewolnic nie mroczy.

Hańba tym, co wolność dla siebie tylko kochają.

Oni kłamcami są i faryzeuszami wolności.

Kto wolności szczerze pragnie — kto naprawdę synem wolności — ten jej dla wszystkich chce.

Ten pęt żadnych nie dopuści —

Ten niewolą każdą się brzydzi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kto wolność kocha — ten niewoli matek swych — i żon — i córek nie zniesie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

I ludzie wolności nie godni — jeśli jej nie chcą dla wszystkich.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wszystkie racye przeciw równouprawnieniu kobiet — tyle są warte, co racye rządów przeciw dopuszczeniu przedstawicieli narodowych, i tyle, co racye klas jednych przeciw równouprawnieniu drugich.

One sprowadzają się zawsze do racyi przewagi siły nad słusznością: Ich racyą egoizm i przemoc!

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wolność potrzebna wszystkim.

Te wady umysłu i charakteru kobiet — jeśli są to wady, które przytaczają, jako argument przeciw równouprawnieniu, to właśnie zatruty owoc niewoli.

To skutek niewoli —

I to racya nowa, by znieść tę niewolę!

Kobieta w rodzinie wszak głos ma — i rodzina źle na tem nie wy-

chodzi. — Owszem źle byłoby w rodzinie, gdyby kobiety usunąć od wszelkiego wpływu.

Czemuż w Ojczyźnie one głosu mieć nie mają?

Czyż one nie dziećmi Ojczyzny?

Czyż jej losy — ich nie obchodzą?

Czy wolno im obojętnemi być na los Ojczyzny?

Jeśli rozum, czy zimny rozsądek przeważa w mężczyźnie —

To kobieta — wyższa podniosłością duszy, i zapałem serca.

Zanadto już ten zimny, mały rozsądek zbrzydził wszystko, zanadto zmroził serca, i wyjałowił dusze.

Niech kobieta przemówi.

Może w słowie jej zabrzmi to, co zatracili mężczyźni:

Podniosłość duszy —

Ten święty idealizm, co pobudką wielkich prawdziwie czynów, i wielkich pragnień.

Dziś ideał obniżył się wszędy.

Niech więc kobieta stanie na straży ideałów tych wielkich — co gwiazdą przewodnią wielkich przeznaczeń.

Niech ona zgasnąć im nie da.

Niech ona będzie dla narodu swego tem — czem Lilla Weneda była dla szeregów zagrożonych bojowników.

Niech ducha mu doda —

I zapał roznieci!

Ale na to wolność jej dać trzeba —

Na to z pęt ją rozkuć —

Na to — za obywatelkę kraju ją uznać.

Kobiety Polki!

Nie tylko interes wasz — was wzywa — ale dobro Ojczyzny — ale jej przyszłość świetna — do której dążyć mamy wszyscy:

Stańcie się wolnemi!

Złączcie się — i w imię sprawiedliwości i dobra Ojczyzny — żądajcie równości dla was.

Ojczyzna was potrzebuje: —

Słowa waszego — i waszego serca, i waszego ducha.

Nie godzi się wam nie stanąć tam, gdzie chodzi o przyszłość Ojczyzny.

Wszak przyszłość Ojczyzny — to przyszłość dzieci waszych, to ich szczęście, lub nieszczęście.

I ta przyszłość od was w znacznej części zależy.

Gdy mężowie wasi — i synowie wasi ginęli za Ojczyznę — na po-

lach bitew — na ulicach miast, na szubienicach i w więzieniach — i w katorgach —

Gdy oni krwią swoją kupowali przyszłość Ojczyzny —
Wyście ją opłacały łzami swojemi i cierpieniami.

— — — — — — — — — — — — — — — —

I rozdarciem serc waszych — i złamaniem życia waszego —
Męczeństwem serca i ducha.
Niewdzięczną byłaby Ojczyzna — gdyby ku wolności idąc —
O was zapomniała.

A wy wolnemi już będąc —

Na straży stańcie wielkich ideałów, i tych świętych pragnień i tęsknot ducha ludzkiego — które wy rozumiecie lepiej.

Niech te gwiazdy złote świecą nam jasno — i niech mgła egoizmu nie zaćmi ich nam.

I miłość bratnią nieście, bo jej niema —
A bez niej jasno nie będzie w Ojczyźnie.
Miłość co wszystkich w narodzie — i narody wszystkie zespoli w jedno.
Kobieto Polko — Obywatelką Polką stań się —
I troski o Ojczyznę nie zrzucaj z siebie.

Ojczyzna woła Cię! *Antoni Szech.*

Powyższy wstęp który przedrukowujemy w całości, zamieściła na czele swojej pracy p. t. „O prawa równe i sprawiedliwe“, Marya Karczewska, gorąca i szczera rzeczniczka równouprawnienia kobiety. Streszczając na zasadzie protokółów to, co było mówione w pierwszej dumie rosyjskiej, o przyznaniu politycznych praw kobietom, nawołuje autorka polskie kobiety, aby wobec tworzącego się nowego życia, energicznie wystąpiły w obronie swoich praw obywatelskich i nie spoczęły, aż uzyskają pełne równouprawnienie, które jedynie pozwoli im spełniać sumiennie i skutecznie obywatelskie obowiązki. Książka zawiera dużo bardzo ciekawych dokumentów i powinna znaleźć się w rękach każdej kobiety, dla której sprawa wolności obywatelskiej całego narodu, bez różnicy płci, nie jest obojętną. *M. T.*

WARUNKI PRACY I BYTU KOBIET.*)

W powodzi petycyi, któremi zasypywano ostatniego z absolutystycznych monarchów Francyi, na tragicznym schyłku jego panowania, zwraca naszą uwagę jedno podanie, nieumiejętnie, niedołężnie nawet sformułowane, naiwne nielogicznością swych żądań, lecz wzruszające cichą rozpaczą, jaka bije z tych

*) Referat wygłoszony na wiecu w Filharmonii w Warszawie dnia 11 marca 1907 r. przez Dr Melanię Bornsteinową.

słów nieudolnych. Podały ją kobiety, które błagają „o pracę nie po to, aby pochwycić w swe dłonie władzę mężczyzn, ale aby módz utrzymać się przy życiu“. Od owych czasów nie wiele zmian zasadniczych dokonało się w warunkach życia i światopoglądach szerokich rzesz kobiecych. Miewamy dzisiaj również panie Staël i Roland, umysły wybitne, serca bijące dla haseł przyszłości; mamy kółka kobiece spojone wspólnym ideałem wyzwolenia i równouprawnienia przez pracę: dla pracy; mamy wreszcie olbrzymie masy pracownic z musu, coraz liczniejszą armię proletaryuszek, dla których praca nie wyzwoleniem jest, jeno męczarnią, które nic nie wiedząc o idei, dla jakiej zostały skazane przez pewien okrutny porządek społeczny, cierpią tylko pod brzemieniem podwójnego przekleństwa za grzech pierworodny. O tych nieświadomych pionierkach sprawy kobiecej chcę mówić wobec dzisiejszego audytoryum, złożonego w większej swej części z czynnych lub biernych zwolenniczek ideałów wolnościowych.

Kędy rzucimy okiem po dość rozległem i różnobarwnem polu pracy kobiecej — począwszy od służących domowych i robotnic fabrycznych, po przez pracownice rzemiosł i handlu aż do najwyższych szczebli tej drabiny proleryackiej, do t. zw. intelligenckiego proletaryatu kobiecego — wszędzie dostrzegamy jedno i to samo zjawisko: kobiety pobierają niższe płace i zarobki w stosunku do zarobków męskich, przyczem pracodawcy stawiają kobietom większe częstokroć wymagania. Oto przeciętne warszawskie popychadło do wszystkiego z imponującą pensyą 3—10 rubli kwartalnie, prócz bułki na śniadanie i drugiej na kolacyę i obiadu pozostałego z zimnych resztek z pańskiego stołu. Na takie posady nie ma zupełnie kandydatów męskich, natomiast są lokaje i kucharze, pobierający dwa i trzy razy tyle, co zupełnie tak samo uzdolnione pokojówki i kucharki. Oto szwaczki i krawcowe zarabiające po dwa ruble tygodniowo — rzecz niesłychana u ich kolegów po igle. Oto sklepowe i pracownice biurowe, przyjmujące z wdzięcznością warunki, na które, stosownie do humoru, roześmiałby się lub trzasnął drzwiami ubogi subjekt lub równie nędzny urzędniczek. Fakt to zresztą zbyt znany i niestety uznany, by potrzeba było bardziej drobiazgowych przykładów. Przeciętne wynagrodzenie za pracę kobiecą wynosi $^1/_2$ — najwyżej $^2/_3$ — tego, co pobiera za taką pracę mężczyzna. Obrońcy istniejącego porządku rzeczy przytaczają na poparcie swej słuszności dowody niewątpliwie przekonywujące: niedostateczne przygotowanie zawodowe, prowadzące do partactwa przy traktowaniu zawodu, jako zła koniecznego, lecz przemijającego w razie pomyślnego zamążpójścia. Przyczynia się tu także ta okoliczność, że zarobek kobiety w znacznej ilości wypadków — zwłaszcza wśród klasy małomieszczańskiej — stanowi tylko dodatek w rubryce utrzymania, dopełnianej przez ojca lub męża. Bądź co bądź stan taki istnieje z ogromną krzywdą dla ogółu pracownic — krzywdą tem większą, iż zniesienia jej nie podobna przewidywać na tle istniejącego społeczeństwa. Zape-

wne, ze wzrostem związków zawodowych mieszanych lub specyalnie kobiecych, możnaby mieć nadzieję niejakiego poprawienia istniejących w tej sferze stosunków. Atoli ze względu na niefachowy przeważnie charakter pracy kobiecej z jednej strony, zaś na reakcyjność i brak uczuć społecznych u kobiet z drugiej, trudno przypuścić, by związki zawodowe nawet w Australii lub w Anglii objęły wkrótce pokaźną liczbę członków.

Dla wtajemniczonego w arkana praw rządzących pracą najemną, zupełnie zwykłym i nawet zrozumiałym jest związek, zachodzący stale między niskiemi płacami zarobkowemi a długością dnia roboczego. Im lepiej płatny robotnik, tem więcej potrzeba mu czasu wolnego dla swoich osobistych celów i odpoczynku. Gorzej płatny wyrobnik, żyjący z dnia na dzień — powiedziałabym niemal z godziny na godzinę — czuje się nieskończenie zależnym od chwilowo zdobytego zarobku, gotów pracować w jakichbądź warunkach, byle z głodu nie umrzeć. To też kobiety, należące przeważnie do tej właśnie kategoryi robotników, przy niskiej płacy przystają bez szemrania na przedłużenie dnia roboczego nieraz przez noc całą, pracują w pomieszkaniach brudnych i ciasnych a przedewszystkiem ciemnych, znoszą pokorniej od mężczyzn lekceważące obejście i nawet obelgi pracodawców. Niezmierny wyzysk pracy kobiecej wywołał wrażenie — oczywiście tylko ze względu na interes przyszłych pokoleń — pewną akcyę ze strony rządów wszystkich krajów cywilizowanych. Dziś prawo wszędzie określa mniej lub więcej ściśle ilość godzin pracy kobiet w fabrykach i zakładach przemysłowych, podlegających kontroli inspekcyi fabrycznej. W ten sposób jednak tylko nie wielka liczba pracownic korzysta z tych ukróconych skrzydeł opiekuńczych. Ogromna większość, rozsiana po warsztatach i pracowniach, zależna jest całkowicie od warunków zawartego kontraktu najmu, który prawnie teoretycznie nosi miano wolnego po to chyba, aby dowodzić wciąż, że terminy prawne przeczą nieraz zupełnie określonym przez nie stosunkom życiowym. Pracownica przyjmuje po prostu pracę na tych warunkach, jakie są wynikiem konjunktury rynkowej, że zaś rynek pracy kobiecej jest ograniczony, a rąk gotowych ją podjąć aż nadto wiele, przeto płace i warunki pracy muszą utrzymywać się na poziomie niezmiernie niskim.

Atoli przepełnienie rynku pracy przy jego wytycznej ciasnoście, nie jest jeszcze jedynym powodem nędzy kobiet pracujących. Wina leży tu po części w nich samych, w owem tyle sławionem przez poetów samozaparciu i skromności ich wymagań ekonomicznych. Utarło się przekonanie, że kobiecie wiele nie potrzeba, bo może się byle czem obejść. Rachunki w wielkich magazynach i u jubilerów dowodziłyby czegoś wręcz przeciwnego powyższej popularnej zresztą maksymie. Na poparcie jednego i drugiego wszakże winno się przytoczyć fakty niezbite. Niewątpliwie skromność potrzeb pracownicy, niski poziom jej wymagań, pokora i uległość wobec pracodawcy są rzeczami bodaj

czy realniejszemi niż głośniejsza od nich, bowiem bardziej senzacyjna rozrzutność demonów ziemi. Zbytek kobiet klas uprzywilejowanych jest czemś tak wręcz przeciwnem potrzebom proletaryuszek, jak różnem jest stanowisko takiej królowej stworzenia, która, jak nas stale zapewniają, pośrednio rządzi jednak światem, a w każdym razie jest otoczona nimbem, uwielbieniem, oddycha atmosferą szacunku i stąpa po najbardziej wzorzystych grzecznościach i ma biegunowe stanowisko — wybaczcie serca zbyt subtelne i uszy nazbyt drażliwe — kelnerki, pracującej po 18 godzin na dobę i w zamian, nie bez racyi zresztą, stawianej w jednym rzędzie z notoryczną prostytutką.

Prawdopodobnie takie poniżanie godności osobistej w kobiecie pracującej poza domem i łatwość narażenia na szwank jej dobrej sławy obok wielu innych podstawowych przyczyn przyczyniają się do tego, że kobiety nad pracę w fabrykach i pracowniach przekładają naogół zabieranie materyału do roboty do własnego domu. Rzeczywiście zachowują się przy tej formie t. zw. pracy domowej wszystkie pozory nietykalności ogniska domowego, matka pozostaje przez cały dzień pod jednym dachem z dziećmi, córka nie wydala się z pod opiekuńczego oka rodziców. Żałuję niezmiernie, że brak czasu nie pozwala mi tu szeroko zastanowić się nad złudnością tych świętoszkowych twierdzeń. Gdzież może być mowa o utrwaleniu spójni rodzinnej, o wzajemnem wpływaniu na siebie, gdy warunki pracy wymagają nadzwyczajnego wytężenia sił, ciągłej, skupionej uwagi, nieodrywania się od roboty ani na chwilę? Gdzież czas na wychowanie dzieci, na gospodarstwo domowe, a kiedy płaca od sztuki tak jest obliczoną, że tylko kosztem niedospanych nocy i przełkniętych w pośpiechu posiłków można wogóle zdobyć jakiś dach nad głową i suchy kartofel. Z dala od towarzyszek niedoli, niedostępne dla ruchu związkowego, zamknięte w czterech ścianach izdebki rodzinnej, która jest jednocześnie pracownią, kuchnią i sypialnią nieraz kilku rodzin, ogromne rzesze kobiet pracujących, przez nieświadomość swego losu, przez beznadziejność swej doli, psują warunki pracy innym, wywierają wpływ zanikowy na płace zarobkowe kobiet wogóle. Przeważna ilość przedmiotów naszej toalety: jedwabie, koronki, bielizna, hafty, kwiaty, wszelka konfekcya damska i po części męska, pudełka, papierosy, zabawki naszych dzieci, wszystkie te przedmioty przechodzą przez anemiczne palce owych kobiet, których pracę określa najlepiej angielskie miano: *sweating agenteum* — systemu potu i łez ludzkich.

Mimo całą skromność potrzeb kobiecych, mimo nadmierną ich, niewątpliwie zabójczą pracowitość, zmora utracenia zarobku nie przestaje nawiedzać snów każdej robotnicy w wielu, bardzo wielu gałęziach pracy. W specyalnym języku zmorze tej na imię „sezon martwy“ — *la saison morte* — *Stillsaison*. Wtedy, kiedy my używamy mniej lub więcej zasłużonego wywczasu na łonie natury, kiedy nad miastem wisi nieuchwytny, gęsty obłok kurzu, a rozpalone mury zatruwają wokół powietrze ściśnione oddechem tysięcy i milionów istot

żyjących, wówczas dla szwaczki, kwiaciarki, modniarki: dla tylu, tylu innych rozpoczyna się istnienie już nie bez jutra, ale bez dnia dzisiejszego. Takie samo zjawisko — lecz nie przemijające — miewa miejsce przy zmianie mody, gdy np. dżety nagle przestaną być noszone na korzyść haftów; albo kwiaty ustąpią miejsca piórom itp. Naturalnie z czasem — mówiąc językiem ekonomistów — wytwórczość przystosuje się do tych kaprysów, to znaczy, zawiedzione w swych obliczeniach robotnice przeszczepiają się powoli do nowych lub też wracają do dawniejszych gałęzi pracy. Takie przystosowanie się do nowych warunków odbywa się oczywiście kosztem niezliczonych ofiar indywidualnych, nieraz nawet przy znacznem wstrząśnieniu natury ogólniejszej.

Takim jest w najgrubszych zarysach obraz pracy kobiet-proletaryuszek. Byłby on niejasny, gdybyśmy mu nie dali tła w postaci życia, na jakiem się on zarysowuje. Tutaj zrazu spostrzegamy wielką rozmaitość odcieni, zależnie od tego, czy kobieta jest zamężną, czy też nie, czy zarobek jej opędza tylko potrzeby jej własne, osobiste, czy też stanowi jedyne lub poboczne źródło utrzymania rodziny. Najbardziej ponuro oczywiście przedstawiają się warunki tej ostatniej kategoryi. W stosunkach naszych warszawskich zwykłem zjawiskiem jest praczka, pracująca przeciętnie tylko połowę dni w miesiącu, prawda, że nieraz po 15 godzin na dobę, t. j. za 7 8 rubli miesięcznie, z czego utrzymuje siebie i kilkoro drobnych dzieci. Po fabrykach spotykałam często dziewczęta, utrzymujące rodziców lub rodzeństwo, wdowy lub żony pijaków, które z 10 kop. dziennie, nie licząc świąt i niedziel, żywią siebie i kilkoro innych istot. Tutaj oczywiście można mówić jedynie o zaspokojeniu najpierwotniejszego uczucia głodu — i to w mierze wielce niedostatecznej. Szczęśliwsze, nie obarczone brzemieniem obowiązków rodzinnych, uderzają nas dziwną nieproporcyonalnością w wydatkach na strój z jednej, zaś na zaspokojenie wszelkich innych potrzeb z drugiej strony. Pewien szych elegancyi nawet codziennej, odbija się stale na żołądku i mieszkaniu. Czy znacie, szanowni słuchacze, praktykowany przez samotne ubogie a uczciwe dziewczęta system odnajmowania pół łóżka, co kosztuje w naszych warunkach 10 złotych miesięcznie? Czy spotkaliście pracownice, zarabiające krezusową sumę ośmnastu lub dwudziestu rubli miesięcznie, a żywiące się przez dzień cały herbatą, chlebem i t. zw. ósemką szmalcu lub salcesonu? Czy wiecie, że dziewczęta wielkomiejskie, liczące po dwadzieścia parę lat, nigdy w życiu nie były w teatrze, często nie umieją czytać, a w ogromnej większości nic nie czytują? Wszelkie rozrywki kulturalne są dla nich za drogie, niedostępne, nieciekawe. Życie płynie w dusznych izbach pracowni lub zakurzonych salach fabrycznych z „wypoczynkiem“ w ciasnej stancyjce, gdzie gnieździ się po kilka osób, często bardzo po parę rodzin, sublokatorzy i sublokatorki, dzieci i dorośli pospołu. Niekiedy kątem w tej samej izbie mieszka prostytutka. Według tak poczciwego źródła, jakim jest zarząd miejski kolonii, uboższe rodziny robotnicze, zwłasz-

cza obarczone liczną dziatwą, poszukują mieszkań w ulicach, przeznaczonych na domy publiczne, bowiem lokale w takich dzielnicach są wyjątkowo tanie. Atoli mimo całego wstrętu, jakim przejmują mnie te nory, ziejące wieczną wilgocią, tym specyficznym zapachem nędzy i zgnilizny moralnej, śmiem twierdzić, że nie one najczęściej są właściwym powodem ostatecznego upadku dziewczyny pracującej. Cieszy się ona tam szacunkiem równych sobie i z wyniosłą pogardą zachowuje się wobec dawnych towarzyszek, które los wytrącił z drogi pracy w błoto miejskiej rozpusty. Nawet w razie poślizgnięcia się na tej żmudnej a szarej drodze, dzieje jej grzechu kończą się często przy dźwięku organów i wiwatach weselnych, by nazajutrz rozpoczęła się na nowo szara i jednostajna, jak ubóstwo samo, wędrówka przez życie u boku dozgonnego towarzysza. To, co dla mnie stanowi właściwy upadek kobiety — sprzedaż ciała, miewa normalnie miejsce dopiero przy zetknięciu z t. zw. wyższemi klasami społecznemi. Zwierzchnik fabryczny, od którego zależy przyjmowanie i wydalanie robotnic, może być i bywa sułtanem w haremie w zamian za to, że łaskawie pozwoli pracować za nędznem wynagrodzeniem. Służąca domowa jest zdana na dobrą wolę pana domu i jego przyjaciół, których niełaska oznacza często utratę służby, łaska zaś miewa dla biedaczki najfatalniejsze skutki. A przytem wchodzi tu w grę zbytek i demoralizacya państwa, której przykład zaraża dziewczynę — próżną przypuśćmy i żądną fatałaszków, w stopniu odpowiadającym zalotności i strojnisiostwu pań i panienek. Dwa te czynniki dają w rezultacie fakt, że połowa prostytutek rekrutuje się z dawnych służących. Uboga szwaczka w magazynie, ocierająca się wciąż o kosztowne i eleganckie łachmanki, ma jeszcze mniej pokus niż sklepowa, od której pryncypał wprost wymaga, aby strojem swym „reprezentowała“ magazyn. Podczas moich studyów uniwersyteckich, kiedy z polecenia profesora pracowałam nad położeniem ekonomicznem sklepowych berlińskich, dowiedziałam się, że gdy naiwne kandydatki na posady nieśmiało żądają bardziej wystarczającego wynagrodzenia, spotyka je cyniczna odpowiedź: „Wszak może pani je dopełnić... wieczorami“. Sumienny i poważny badacz stosunków społecznych, szlachetny lekarz prof. Juliusz Pierstoff w pracy swej zatytułowanej: „Praca kobiet i kwestya kobieca“, uogólnia to zjawisko, mówiąc bez ogródek: „Niskie płace zarobkowe kobiet w pewnych specyalnie niewieścich gałęziach pracy, jako to wśród szwaczek, krawcowych i t. p. dochodzą miejscami do takiego poziomu, że rzucają po prostu w objęcia prostytucyi kobiety zdane na własny jedyny zarobek; zaś powiększanie się prostytucyi podtrzymuje zarówno niskość płacy roboczej. Dowiedzionem jest, że podczas martwego sezonu, w okresach przesileń gospodarczych, zwiększa się znacznie armia prostytutek. To jedno starczyłoby za broń przeciw osławionej teoryi Lombrosa o urodzonej prostytutce, gdyby ze szkołą tą wogóle liczyć się jeszcze trzeba było jako z naukową. Pamiętam doskonale naiwną opowieść o swych losach mojej znajomej kwia-

ciarki, zwykłego dziecka ludu a przytem córki nałogowego pijaka i rozpustnika: „Kiedy tak przyszły ogórki i nieraz po parę dni nic w ustach nie miałam a zastawiłam już i poduszkę i żakiet zimowy, ileż razy szeptało mi: wyjdź na ulicę i pójdź z pierwszym lepszym. Że tego nie zrobiłam, to chyba łaska Matki Boskiej, bo ja przyznaję, że nie wiedziałam jak się mam uchronić od złego“. Sama skłonną jestem do przypuszczenia, że cud chroni te dziewczęta przed zatrzaśnięciem za sobą drzwi, na których widnieje napis dantejski: „Wchodzący tu, pożegnajcie się z nadzieją“. Z jednej strony olbrzymi nadmierny ciężar t. zw. uczciwej pracy co najwyżej z perspektywą dość problematyczną zamążpójścia za niekulturalnego nędzarza i macierzyństwa w warunkach po stokroć bolesnych dla serca matki. Z drugiej — życie na krótką metę, bez trosk i mozołu. Dziwić się tylko należy — choć twierdzenie takie może się wydać na razie przedwczesnem — że tak nie wiele kobiet upada, gdy społeczeństwo czyni wszystko, co jest w jego mocy, by je ściągnąć w błoto. Gdyby słowa moje były silniejsze i udolniejsze, stałyby się one przy całej swej objektywności jednym aktem oskarżenia przeciw temu porządkowi, który, pozwalając na krzywdy bezmierne, znajduje tylko pogardę i niezrozumienie pokrzywdzonych. Gdy jednak nie potrafię znaleźć wyrazy dość silne, ująć sprawę dość jasno, by sama za siebie mówiła, nie stawiam żadnych wniosków, lecz ze czcią chylę głowę przed istniejącą niewątpliwie w tych duszach ciemnych a smutnych, acz nieuświadomioną, zapoznaną godnością kobiecą, chroniącą je przed niebezpieczeństwem upadku.

GŁOSY Z POLA WALKI.

„Życie — to nieskończona walka o coraz jaśniejsze wschody słońca, o jutro coraz promienniejsze“.

Długo więziony, katowany i poniewierany powstał Duch narodu. Niewolnik do wczoraj targnął się dzisiaj na swe pęta, na kajdany, które mu już wrastać w ciało poczynały... Poszarpał hańbiące powrósła niewoli i dumnym, nieustraszonym wzrokiem spojrzał w twarz wrogowi swemu i ciemięzcy.

I rozpoczęła się walka straszna, nieugięta...

Pobladły twarze małodusznych, trwogą zadrgały zajęcze serca tchórzów, lamentem jękliwym zawyły głosy wstecznictwa...

A walka wre straszliwa, nieugięta walka o jutro promienniejsze, wolne, od hańbiących pęt narodowej niedoli i od wstecznictwa duchowego wolne, podwójna walka. I oto płynie krew szeroką falą, gorąca krew serdeczna bojowników i droga wolności suto już usłana ciałami ofiar bohaterów. A kiedy po niej idą wciąż nowi, wysoko, ponad świszczące kule

karabinów, ponad bagnety i skrzyp szubienicy — niosący sztandar wyzwolenia, ci, którzy jeszcze pozostali, wyciągają do tłumów ramiona i wołają głosem serdecznym.

— Zbudźcie się!... Zrzućcie te stare, zbutwiałe wasze szmaty przesądów, nieuctwa i wstecznej ciemnoty! — Ta purpura, którą przyodziewać chcecie swe ciała, to wszak tylko szmata, we krwi krzywd ludzkich zmaczana, a wyście katy, ducha niepodległości tyrany, nędzni niewolnicy, własną obłudą upici, ślepcy, głupcy albo błaźni!...

I głosów takich rozlega się coraz więcej, bo duże i szerokie pole walki roztacza się przed bojownikami. I będą wołali, dopóki tłum cały ich nie usłyszy, dopóki nie zbudzi się i nie zrozumie".

Jednym z takich głosów, nawołujących do postępu, jest książka znanego bojownika na polu wychowawczem i szkolnem, zasłużonego pedagoga Stanisława Karpowicza: „Ideały i metoda wychowania spółczesnego". (Nakładem Jakóba Mortkowicza, Warszawa: Centnerszwer i Ska., Lwów: księgarnia H. Altenberga 1907 r.).

Treścią jej pragniemy podzielić się z szanownymi czytelnikami, nim przystąpimy do książek innych, również znamiennych, wyszłych w ostatniej dobie.

Po wykazaniu najogólniejszych i powszechnych cech wychowania, autor wyżej wymienionej książki przechodzi do wykazania cech znamiennych w wychowaniu dotychczasowem i teoryi wychowawczej.

Ażeby wiedzieć, czem jest wychowanie umiejętne, odpowiadające potrzebom życia i wymaganiom nauki, musimy najpierw rozważyć główne jego zagadnienia: cel wychowania, jego warunki i środki. Przeciętne matki i nauczycielki nie umiałyby odpowiedzieć, dlaczego tak, a nie inaczej wychowują dzieci. Dlaczego takiemi, a nie innemi kierują się zasadami, na czem polega wykształcenie? — tego nikt nie powie, bo nikt się nad tem nie zastanawia. Różnice klasowe i stanowe zaznaczają się najwyraźniej w wychowaniu domowem. Większość szkół odznacza się brakiem zasad, które obejmowałyby potrzeby wszystkich, program zaś wykładów i system wychowawczy zastosowano do celów nielicznej grupy ludzi, niezależnie, lub wbrew interesom większości. W szkole ślepa cześć dla powagi jest podwaliną etyki szkolnej. W gimnazyach zamiast nauk społecznych, panuje klasycyzm, bo on najskuteczniej przytępia zdolności badawcze, ruguje wszelką myśl krytyczną i zasłania przed młodzieżą świat rzeczywistych stosunków. Samodzielność sądów i postępowania surowo jest potępiana zarówno w szkole, jak w wychowaniu domowem, ponieważ moralność dziecka osnutą została na przepisach, których wykonania strzeże system kar i nagród, a mądrość wychowania zaradza się na zapamiętaniu

cyfr, faktów i formułek. Probierzen wartości wykładanych przedmiotów jest w najlepszym razie ich przydatność w życiu klas uprzywilejowanych. System klasyczny ze wszystkimi swymi szczegółami odpowiada poglądom i dążeniom warstwy zamożnej i panującej, w części arystokracyi rodowej i duchownej. W realnym, odbijają się interesy przemysłowców, kupców i posiadaczy wielkiej własności rolnej. Szkoły zawodowe niższe i średnie, chociaż przeznaczone są dla klasy pracującej, służą interesom kapitalistów i opierają się na pedagogii, nie mającej nic wspólnego z życiem i potrzebami robotnika. Nie uwzględniają one tego, że przyszły pracownik posiada wspólne ze wszystkimi ludźmi potrzeby i pragnienia, że jego rozwój cielesny i duchowy pierwej niezbędne dla każdego przejść musi koleje, osiągnąć sprawność ogólną i poznać rzeczy zasadnicze, wszystkich jednakowo obchodzące, zanim się przejdzie do kształcenia niektórych zdolności specyalnych, w przyszłym zawodzie potrzebnych.

W szkołach ludowych program wychowania odpowiada również nie potrzebom ludu, lecz tych, którzy przez jego kształcenie wzmacniają podstawy własnego bytu.

Taki jest -- mówi autor – system wychowawczy szkoły ze wszystkimi jego zasadami i brakiem zasad, duchem i kierunkiem, metodą i niemetodycznością. Znamienną cechą wychowania była i jest żywiołowa dążność do utrwalenia przewagi klas panujących. Nauki społeczne, jak ekonomia polityczna, socyologia są całkiem z tego powodu w programie szkolnym pomijane. Wychowawca nie rozszerza widnokręgów umysłowych dziecka, nie poucza o przyczynach niedoli i środkach jej zapobiegania. Żaden nauczyciel nie zastanawia się nad tem, jaką metodą najłatwiej zmienić zdoła usposobienie, charakter, poglądy dziecka, bo rozwój ogólny, umysł wszechstronny, bystry, niezależny, prawie nikogo nie obchodzi, poznaniem natury wychowania nikt się nie interesuje. Głównem zadaniem edukacyi jest tresura, ostateczny cel zabiegów, to karyera. System wychowania przejęty jest na wskróś duchem dorobkiewiczów.

Grupa społeczeństwa, która nadawała kierunek całej edukacyi zarówno u nas, jak gdzie indziej, nie chciała widzieć w wychowaniu przyszłego człowieka, t. j. istoty zdrowej na ciele i duszy, z rozbudzoną należycie świadomością położenia swego w przyrodzie i społeczeństwie, znającej potrzeby swoje, prawa i obowiązki. O wychowanie takie nie chodziło kierownikom urzędowej oświaty, gdyż umysł wszechstronnie rozwinięty, samodzielny, krytyczny i charakter niepodległy, nie dają się uzyskać dla dzisiejszych celów ekonomicznych.

Z dzieci wytwarzano powolne narzędzia do pracy, zastosowane do potrzeb rynku handlowego. Z tego powodu zaniedbywano lub pominięto

w wychowaniu sprawę rozwoju pod względem fizyologicznym i psychologicznym, oraz zapomniano o społecznej stronie edukacyi.

Idea rozwoju, przeniesiona do pedagogii, wymaga przedewszystkiem, aby wychowawca rozwijał, utrwalał i doskonalił w dziecku te zasoby sił i skłonności, z któremi ono na świat przychodzi i które w życiu społeczeństwa, rasy i osobnika przydać się mogą. Trzeba stworzyć dla wychowania takie warunki życia, w których równomiernie wzrasta, krzepnie i doskonali się zarówno ciało, jak umysł i uczucia. Najważniejszą sprawą w edukacyi jest wszechstronny i równomierny rozwój całej istoty ludzkiej. Wychowanie powinno opierać się na znajomości biologii i teoryi rozwoju. Autor potępia i wykazuje bezcelowość kształcenia uwagi i pamięci jako odrębnych i niezależnych zdolności. Ćwiczenie poszczególnych władz, jest niedorzecznością, gdyż jako uzdolnienia specyalne takowe nie istnieją wcale. Sposób udzielania wiedzy powinien odpowiadać naturalnemu procesowi tworzenia się wyobrażeń, pojęć i sądów.

W trzeciej części swej pracy autor krytykuje wychowanie moralne, wykazuje następstwa takowego i wskazuje widoki pedagogiki naukowej.

Obecnie — powiada — zamiast wykształceniem moralnem, rodzice zajmują się uobyczajeniem i tresurą dziecka. Szkoła zaś rozwija nadzór nad ścisłem stosowaniem postępowania młodzieży do wymagań rygoru i dyscypliny. Do moralności tu wszakże bardzo daleko. Tresura polega na odwoływaniu się do woli, jako do źródła motywów złego lub dobrego czynu. Usiłowano działać na wolę, a środkami w tym celu były próby, rozkaz, przymus, nagroda lub kara. Wszystkie czynności, prócz popędów wyraźnie fizyologicznych prowadzono od jakiejś tajemniczej władzy. Pochodzi to z pojęcia mylnego o samowolności woli. Zapomniano o tem, że wszelkie uczucie, wszelka myśl i działanie są skutkiem długiego szeregu przyczyn, niekiedy tak ściśle zespolonych ze sobą, że wprost część natury człowieka stanowią. Zamiast zbadać naturę, zastanowić się nad stopniowem powstawaniem popędów, myśli i pragnień, aby je do prawidłowego rozwoju pobudzić, przez wdrażanie dziecka do życia w pożądanym kierunku, narzucano gwałtem poddawanie się woli innych osób, hamując czyn. Następstwem takiej metody jest przeistaczanie natury dziecka w bierną i zagłada cech osobistych. Metoda w celu oddziaływania moralnego jest czysto policyjną, a nie wychowawczą. Dla tego u szczytu doskonałości widzi się tu zwykle tych, co najmniej złego uczynić są zdolni. Oto, aby dziecko czyniło dobrze, nikt się nie troszczy.

W interesie warstw uprzywilejowanych leży, aby przyszli pracownicy ulegali bez wahania narzuconemu z góry kierownictwu i postarano się o taki system szkolny, który budzi w młodzieży niezachwiane poszano-

wanie dla powag, a nieufność we własne siły, tłumi wrodzony popęd do badań i pozbawia młodzież samodzielności w myśleniu, woli i czynie.

Stosunki klasowe osnute są, jak wiadomo, na współzawodnictwie. Gdyby wytwarzanie środków do życia i ujarzmianie sił przyrody było dziełem wszystkich obywateli kraju i gdyby każdy brał udział jednakowy w korzystaniu z owoców wspólnej pracy, wówczas życie społeczne nie byłoby polem nieustającej walki. Ponieważ jednak dzieje się inaczej, ponieważ dla każdych kilku ludzi poświęcać musi swe trudy i cierpienia 90-ciu przeszło współobywateli — należało stworzyć instytucye takie, któreby stan taki podtrzymywały, ponieważ pomiędzy instytucyami temi znajduje się i szkoła — musi ona nadewszystko podnosić cześć dla złotego cielca i siły, chociaż czyni to w sposób mniej lub więcej zamaskowany, aby nie obudzić wstrętu i protestu w nieskalanych jeszcze duszach młodzieży. Bezwzględna pogoń za karyerą odbija się głośnem echem wśród murów szkolnych, wyciska niezatarte pozorami piętno w wychowaniu domowem.

Podręczniki, wykłady, literatura dziecięca, rozmowy starszych, chociaż wyraźnie tendencyi tej nie ujawniają, to w każdym razie powadzą nieznacznie młode pokolenie do ukochania karyery i do zobojętnienia względem wszystkiego, coby jej przeszkodzić mogło. Wychowawcy pragną zaszczepić jak najwcześniej w młode umysły ambicyę na punkcie bodaj pozornych zwycięstw, odznaczeń i wydartej towarzyszom sławy, do czego najskuteczniej prowadzi podsycane współzawodnictwo. Gdyby ludzie ścigali się wzajemnie w poszukiwaniu prawdy i wiedzy, gdyby chodziło im o wyświadczenie jak największych dobrodziejstw bliźniemu, to współzawodnictwo w takim zakresie byłoby wyrazem istotnego postępu, pogonią za powszechnem szczęściem. Jeżeli wszakże spieranie się o wygodniejszą placówkę, o lepszy i większy kęs chleba stanowi treść walki, to jedynie siła brutalna o zwycięstwie rozstrzygnąć może.

Nawet z nauki zrobiono służebnicę możnych. Zręcznie powycinane i odpowiednią tendencyą zabarwione karty z dziejów cywilizacyi, obłudnie historyą zwane, uczą dzieci poszanowania tych, którzy gwałcąc prawa bliźnich, zdobywali sławę, zaszczyty i wybitne stanowiska.

Próżne jest mówienie z pobożnem namaszczeniem o świętości prawdy, cóż znaczą gołosłowne twierdzenia, kiedy całe nauczanie, wychowanie moralne i otoczenie kłam zadają.

O spaczeniu pojęcia o wychowaniu moralnem świadczy żądanie i wdrażanie dzieci do posłuszeństwa.

Posłuszeństwo, chociaż może się zgodzić z czyjemiś osobistemi żądaniami, powinno być nie osobowe, ponieważ we wszystkich sprawach, z wyjątkiem moralnie obojętnych, uczciwie i dobrze należy postępować

nie dla tej lub innej osoby, lecz dla zwiększenia ogólnego dobra, bez którego życie staje się niedolą. Powszechny zwyczaj w wychowaniu nakazuje posłuszeństwo osobowe, nieświadome, mimowolne; posłuszeństwo z przymusu tłumi w zarodku życia dziecka popędy moralne, zabija poczucie własnej godności, uniemożliwia inicyatywę dobrego postępku i znieczula serce wobec nawoływania do nieprzymuszonych obowiązków. Ale za to czyni ono wychowańca bezmyślnym i uległym, a w przyszłości podatnym do wszystkiego w ręku silniejszych. Oto wszakże chodzi w systemie wychowania, zbudowanym na zasadach klasowych! — woła z goryczą autor.

Na zakończenie zaleca zerwanie zupełne z dotychczasową pedagogią klasową i zmianą zupełną metody. Wychowanie i szkolnictwo ma przed sobą trojakie zadanie: ułatwić młodzieży naturalny i samodzielny rozwój wszystkich sił duchowych i cielesnych, przysposobić jednostkę do świadomego udziału w życiu zbiorowem i uzdolnić do pracy zawodowej. Ponieważ każdy członek społeczeństwa nie tylko ma prawo, lecz i obowiązek z zachowaniem swej indywidualności, przyczynić się do szczęścia osobniczego i zbiorowego, przeto system edukacyjny wolnym winien być od wszelkiej partyjności. Uwzględniać on powinien potrzeby wszystkich bez względu na stan, płeć i pochodzenie obywateli, wiodąc ich do zespolenia celów i środków w walce o lepsze jutro.

Właściwości narodowe, które sprzyjać mogą doskonaleniu się jednostki, rasy i społeczeństwa, pedagogia umiejętna popierać będzie na równi z innymi czynnikami postępu.

Książka napisana przystępnie, treściwie i polecamy ją gorąco uwadze szanownych czytelników. *Stok.*

MACIERZYŃSTWO
W ŚWIETLE HISTORYI, PSYCHOLOGII, FIZYOLOGII, HYGIENY I MORALNOŚCI.

O kobiecie polskiej pisano już niejednokrotnie, choć najczęściej jednostronnie, biorąc za punkt wyjścia albo stanowisko jej moralne, albo umysłowe, wreszcie praktyczne, w naszem społeczeństwie.

Dość wymienić prace znanych i zasłużonych pisarzy polskich, by wykazać, że nie była ona ani zapomniana, ani zaniedbana i że cnoty jej i przywary znalazły ocenę, jeżeli nie zawsze sprawiedliwą, to z punktu widzenia autorów — słuszną.

Dla przypomnienia — podam poniżej spis prac, odnoszących się do kobiet polskich, w chronologicznym porządku ich powstawania.

1. W r. 1868 napisał Aleksander Przeździecki: „Jagiellonki Polskie XVI wieku“, zajmując się kobietami sfer najwyższych.

2. W r. 1872 — Władysław Chomętowski: „Stanowisko praktyczne dawnych niewiast polskich“.

3. W r. 1875 — K. W. Wóycicki: „Niewiasty polskie“.

4. W r. 1883 — Dr. Antoni Rolle: „Niewiasty kresowe“.

5. W r. 1886 — Piotr Chmielowski: „Autorki polskie XIX wieku“.

6. W r. 1892 — Aleksander Kraushar: „Barbara Brzezianka“.

7. W r. 1894 — Ernest Świeżawski rozprawę: „Esterka i inne kobiety Kazimierza Wielkiego“.

8. W r. 1895 — wyszło z druku pośmiertne wydanie: „Kobiety w Polsce“, pisanej pomiędzy 1860—1862 r., Zygmunta Kaczkowskiego.

Niepodobna też nie wymienić na tem miejscu znakomitego dzieła Edwarda Prądzyńskiego: „O prawach kobiety“, gdyż on to pierwszy u nas podniósł głos w sprawie stanowiska prawnego kobiety, jako obywatelki kraju.

Wśród licznych rozpraw, broszur i artykułów, rozsianych na szpaltach pism naszych, a odnoszących się specyalnie do spraw kobiecych, wymienimy jeszcze dwa dzieła, w dobie ostatniej wydanych, mianowicie: „Album znakomitych Polaków i Polek“, wydawnictwo Maryi Chełmońskiej i pracę zbiorową: „Kobieta współczesna“, wydawnictwo „Bluszczu“. Rzuciwszy okiem wstecz, widzimy, że kobieta u nas była oceniana i sądzona i dawniej. Dosyć rzucić okiem na bogatą literaturę doby Zygmuntów, by się o tem przekonać.

Zarówno Kochanowski, jak Rey, Górnicki, Twardowski, prócz niezliczonych orląt o mniejszych skrzydłach, aniżeli ci wielcy, poezyi ówczesnej orłowie — wielbili i karcili naprzemian kobietę. Wszak roi się od nich we fraszkach i satyrach, w „Żywocie człowieka poczciwego“!

Oddawano hołd i kochano te, które w niczem nie odstępowały od dawnego typu kobiety polskiej, a raczej „niewiasty“ czyli „nic niewiedzącej“, lecz każde, najmniejsze nawet uchylenie się od ideału, wywoływało gniew i oburzenie i ostrze satyry na się zwracało.

Królowe — Marya Ludwika i Marya Kazimiera, wniosły ze sobą duch francuski. Lekkość obyczajów, pieśni miłosne, schadzki i męczarnie bezsennych nocy, które tak cudnie opiewa sielankowy Morsztyn. Czasy Saskie zmieniają sielankę w istotną rozwiązołść. Kobieta zeszła z wyżyn w objęcia błyszczących kawalerów, czarując już tylko pięknością zmysłową.

Na jej to cześć powstawały tysiączne hymny, ody i pieśni, ale ani Trembecki, ani Zabłocki lub Węgierski, nie starali się wyodrębnić tej istotnej kobiety polskiej, nie pokazali zcudzoziemczałym Polakom istotnej ich kobiety, zamiast tej, którą podziwiano i odzierano ze czci, na dworze

Sasów. Niepodobna wątpić, że istniało ich tysiące, ale te kryły się cicho, w oddaleniu i samotności, pod strzechą szlacheckiego dworku lub chłopskiej chaty.

Dopiero w dobie późniejszej, gdy ucichła burza, która z sobą uniosła tron i dworaków i całą ohydę i rozpustę, gdy ojczyzna stanęła obmyta krwawemi łzami, oczyszczona z win — wówczas-to znowu na widownię powróciła kobieta polska.

Dla niej to poezya ówczesna na inny ton nastroiła swą gęślę.

Już pieśń rodzima nie ciało, lecz duszę kobiety wielbi; nie czczy, przelotny blask, a ducha jej podniosłego, jej hart i moc w wytrwaniu. Do takiej to kobiety tęsknią Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, dla niej to piszą: Brodziński, Goszczyński, Grudziński, którego wiersz prosty całą treść kobiety opiewa:

Cześć, sława polskiej kobiecie
Niechaj rozbrzmiewa po świecie,
Bo wiara, która nas żywi,
Wytrwałość, która świat dziwi,
To Ona!

Czyż potrzeba wyliczać Asnyka, Zalewskiego i tych wszystkich poetów zmarłych i żywych, by się o tem przekonać?

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Jak powiedziałam, o kobiecie polskiej pisano już wiele, pomimo to, nie posiadamy żadnej pracy, dotyczącej najistotniejszej treści jej życia, to jest macierzyństwa.

Kobieta matka żyłą wprawdzie od wieków, jako ta najlepsza, najmilsza, jedyna, w ustach ludu naszego, wśród jego pieśni, w której mieści się cała jej niedola, poświęcenie i wieczna krzywda.

Myśmy jej jednak osobnej pracy nie poświęcili, nie staraliśmy się wykazać jej potrzeb, jej praw, jej wyjątkowego w świecie stanowiska.

Patrząc z blizka na życie kobiety-matki, nie trudno dojrzeć, że wiele względem niej zawiniono, wiele popełniono błędów i usterek, ale widzimy to jasno, że i ona także nie jest bez winy, że często przez nieświadomość, często dzięki błędnemu wychowaniu, grzeszy przeciwko sobie i młodemu pokoleniu.

Silne przekonanie, że wobec ewolucyi obecnej kobiety należy niezwykły nacisk położyć na macierzyństwo, że w świetle nowych prądów należy mu przyznać naczelne stanowisko i wywalczyć oddzielne prawa — poddały mi myśl opracowania tego tematu.

Myśl tę jednak w czyn wprowadził kwestyonaryusz, przysłany mi z Ameryki, w którym znalazłam odbicie mych myśli, wrażeń i pragnień, a zarazem potwierdzenie potrzeby i aktualności takiej pracy.

Nie przypisuję sobie autorstwa, znakomicie ułożonego kwestyonaryusza, który przełożyłam tylko na język polski i uzupełniłam w niektórych miejscach, co poniżej, przy opracowywaniu odpowiedzi, wykażę.

Czyniąc to, powodowałam się myślą, że odpowiedzi dostarczą nam ważnych wskazówek, rzucających światło, nie tylko na potrzeby, ale i znaczenie macierzyństwa w naszem społeczeństwie.

Kwestyonaryusz ten został wydrukowany przez dwa pisma postępowe, sprawom kobiecym poświęcone, i wyszedł kolejno w „Dobrej Matce“ w Warszawie i w „Nowem Słowie“ w Krakowie. Na wezwanie odpowiedziały, jak się tego można było spodziewać, kobiety wyższe umysłem i sercem, które widocznie rozumiały braki własne, a często będąc w niezgodzie ze sobą, ze światem i z życiem — szukały wytłómaczenia, pociechy i podpory; pragnęły wychować córki swe na zdrowsze, szczęśliwsze, może lepsze matki, aniżeli one same, w ich własnem mniemaniu.

Zebrany materyał nie jest tak obfity, jakby mógł być, gdyby i inne pisma kobiece zechciały były ten kwestyonaryusz powtórzyć, a zatem poprzeć, pomimo to tak jest piękny i w treść bogaty, taki szczery i prawdziwy, że istotnie pochlubić się nim można. Ponieważ nie wymagano żadnych szczegółów osobistych, kobiety nasze mogły być szczere i były niemi, przemawiając serdecznie i prosto.

Czytając te odpowiedzi, jedne po drugich, miałam wrażenie, że przed mojemi oczyma rozsnuwa się życie całe tych bohaterek macierzyństwa, wśród trosk i kłopotów codziennego życia, w walce o byt, coraz cięższej, w dążeniu ku lepszemu, ku niezależności i prawdzie.

(D. c. n.) *Anna Grudzińska.*

INDYWIDUALIZM W MIŁOŚCI.

Uznając działanie doboru w procesach życiowych, pisarze, zajmujący się kwestyą wzajemnego stosunku płci, starają się przewidzieć, jaki typ związków zdoła się utrzymać w racyonalnych warunkach przyszłego ustroju. Ma tu rozstrzygać przydatność tej lub innej formy dla czysto przyrodniczego rozwoju gatunku, lub też największa jej przydatność dla społeczeństwa.

I przyrodnicy i społecznicy w rozważaniach swych kierują się światopoglądem, przedstawiającym życie, jako wynik przeobrażeń materyi, odbywających się ze ślepą koniecznością poza nami, niezależnie od nas. Żywiołowe, nieujęte siły stwarzają cały świat widzialny, a nasza biedna świadomość jest tylko słabem odźwierciadleniem zjawisk, narzucających się jej z nieodpartą tyranią.

Lecz darwinizmowi, gdzie miłość jest illuzyą, osłaniającą dobór płciowy, i materyalizmowi dziejowemu, gdzie osobowość ludzka jest deterministycznym produktem warunków ekonomicznych, przeciwstawia się powoli pogląd, uznający wpływ czynników psychologicznych na kształtowanie życia.

Nie tylko otoczenie rzeźbi i urabia jednostki, lecz jednostki nawzajem rzeźbią i urabiają swe otoczenie.

Dlatego też ci ludzie przyszłości, o których tyle rzucano przepowiedni, ci ludzie, o ogromnem uduchowieniu i giętkiej, głębokiej świadomości, nie poddadzą się żadnym doborom, które się oprą li tylko na prawach materyi.

Rozstrzygającymi będą nie względy gatunkowe lub społeczne, lecz indywidualne. Krótko mówiąc: utrzyma się forma, zapewniająca nie tylko największy rozkwit gatunku lub społeczeństwa, lecz i największy rozkwit i wybujanie indywidualności, pojętej jako całość psychiczna.

Ponieważ wykształcona indywidualność będzie posiadała w najwyższym stopniu poczucie harmonii świata zewnętrznego, więc dążności jednostkowe nigdy nie będą mogły pozostawać w sprzeczności z prawami przyrody i dobrem ogółu.

Jednostka, dążąca do doskonałości, potrzebuje: największej głębi myślowej, najsubtelniejszego piękna, najpotężniejszego rozmachu czynu. W ten sposób tylko może wyżyć się całkowicie, rozwinąć całą swą twórczość.

Związek płciowy, oparty na miłości, nie tylko nadaje piętno wykończenia organizmowi, lecz niesłychanie rozbudza i podnosi twórczość osobniczą.

I w przyszłości, kiedy zacznie działać dobór psychiczny, utrwalą się te formy, które pozwolą miłości najszerzej skrzydła rozwinąć, dadzą maximum szczęścia i zachwytu.

Słyszymy (ach, tak często!) rozsądne zdania, że powinniśmy nasze osobiste zachcenia podporządkować dobru potomstwa. I tyle istnień obecnie ginie — dla dobra potomstwa. Osobno należałoby rozpatrzeć obszerną kwestyę, czy te ofiary osiągają cel. Tu tylko należy zauważyć, że troska o potomstwo, jako argument przeciwko formom współżycia kobiety z mężczyzną, najwolniejszym, najszczęśliwszym, nie wytrzymuje krytyki z punktu widzenia dobra tego samego potomstwa. Wszak okres dzieciństwa i wczesnej młodości jest tylko okresem przygotowawczym. Okres najpłodniejszy — kiedy żyje się pełnią życia, własne piętno kładąc na otoczenie, kiedy następuje wybujanie wszystkich sił i zasobów — to okres dojrzałości. Nosząc jarzmo dla naszego potomstwa, oddajemy mu w spadku to jarzmo. Chcąc oszczędzić walki i przeszkód życiowych dziecku

nieświadomemu, robimy kalekę na duchu z dorosłego, rwącego się w dal człowieka, narzucamy mu nasze zmurszałe prawa i nasze niewolnictwo, któregośmy nie mieli odwagi przełamać.

Najwyższa troska o potomstwo polega na tem, aby żyć jak najśmielej i najwolniej i tem samem wyrównać mu drogę ku życiu pięknemu i potężnemu.

Któraż z form współżycia płciowego najlepiej odpowie temu celowi, która najsilniej uwydatni pierwiastki twórcze człowieka i najbardziej rozsłoneczni mu życie?

Współczesne życie wskazuje nam niejedną formę, w której tkwią już zarodki przyszłości. Bo żadna zmiana nie wyskakuje nagle na świat, jak Minerwa z głowy Jowisza. Powoli zmienia się małżeństwo i wewnętrzna struktura rodziny, aczkolwiek wszyscy są przeświadczeni, że stara obręcz nie pękła jeszcze.

Na podłożu antropologicznem rozwijają się różne typy psychiczne, których jakość określamy zwykle terminem: „temperament“. Po przez wszystkie ustroje i wieki spotykamy zróżnicowanie ludzi podług specyficznego, żywiołowego zabarwienia ich psychiki.

Otóż te różne typy, dla rozwoju i wydobycia ze siebie wszystkich cech indywidualnych, dla osiągnięcia w sobie mocy i pełni, potrzebują różnych warunków.

Jedni dane zjawisko, dany stan życiowy starają się wyczerpać do dna, zbadać, wyzyskać do najdrobniejszych szczegółów. Potrzebują oni nie wiele strun, lecz będą na nich grali długo, powtarzając z upodobaniem te same melodye. Tacy stanowią w społeczeństwie przeważnie element statyczny: napawają się i odtwarzają swojem życiem gotowe wzory.

Inni — typy dynamiczne — żyją szybko, przeżywając okres za okresem, przetwarzając się w niewielkich odstępach czasu. Potrzebują oni wielu wrażeń i ludzi. Są to typy bardzo często buntownicze i twórcze.

Gdy pierwsi będą potrzebowali niewielu ludzi, dopuszczali do siebie tylko bardzo wybranych, drudzy będą dążyli do zetknięcia się z możliwie największą ilością dusz, bo potrzebują wielu tonów, choćby bezładnie ze sobą połączonych. Wśród nich bywają szukający, twórcy nowych obyczajów, nowych praw, nowych stosunków, nowego świata uczuć i myśli.

Zależnie od napięcia energii i stopnia doskonałości różnych dusz, objawia się ich miłość. Dla jednego trudne będzie poprzestanie na jednej miłości, na jednej osobie. Drugi, powolny i głęboki, tylko wtedy potrafi wyżyć się, zakwitnąć pełnią szczęścia, gdy w przyjaźni i miłości na zawsze zatrzyma przy sobie tę samą osobę — ukochaną.

Przemózgowienie, przeanalizowanie i realizm, uznający, że wszystko naturalne jest naturalnem, a zarazem podwyższający ducha aż do uzna-

nia, że nie ma on nic wspólnego z prawami materyi, stworzył przez pewien czas typ racyonalnego zaspokajania organizmu bez interwencyi ducha. Ten sam typ urzeczywistniają, tylko bez takiej głębokiej filozofii, filistrzy, żeniący się „dla hygieny“.

Dla nas jest obojętnem, w jakich formach urzeczywistnia się zadośćuczynienie „hygienie“ — czy w formach chwilowych związków, czy rodzin „*comme il faut*“ — wartość ich jest jednakowa; zaznaczamy tylko, że typ ten istnieć będzie, dopóki będą istnieli ludzie, jakich dziś jest większość, ludzie, którzy nie dorośli do uduchowionej miłości.

Najprzeróżniejsze formy istnieją i w naszem cnotliwie-mieszczańskiem społeczeństwie, i we wszystkich bez wyjątku dawniejszych i współczesnych społeczeństwach o pewnem zróżnicowaniu, niezależnie od różnic warunków ekonomicznych, prawodawstwa i t. d. Każdy ustrój społeczny podkreśla tylko i legalizuje formę małżeństwa, najbardziej z nim współmierną, lecz prawodawstwo i opinia nie jest w stanie wszystkich innych form zupełnie zabić. I pożycie z kilkoma jednostkami naraz i związki chwilowe, nieprawne, i zrywanie małżeńskich węzłów, krępujących nieszczęściem i małżeństwa stałe zawsze istniały, tylko formy nielegalne kryły się za grubą maską obłudy i tajemnicy.

Walczyć skutecznie z tem, co jest złe i szkodliwe, można nie zapomocą ukrywania i kłamstwa, ale przez odwagę i szczerość, przez wytępienie zła w swem osobniczem życiu, przez odrzucenie kompromisów, przez życie podług prawdy swojej.

Wolność można zdobyć jedynie, żyjąc (nie krzywdząc innych) jak najwolniej i jak najśmielej! *Savitri.*

KOBIETY WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Japonka.

Wszystkie kobiety po ukończeniu zakładu będą zawsze korzystały z jego szacunku i pomocy moralnej. Instytut chętnie daje rady co do otworzenia szpitala, pomaga w odszukaniu posady i t. p.

Przy instytucie jest też i szpital, w którym uczące się po kolei przyjmują, wysłuchują, opatrują i asystują podczas leczenia chorych.

Obok instytutu istnieje pensyonat dla studentek, które tutaj zamiast opieki ojców i braci znajdują się pod stałym dozorem inspektora.

Pozwalam sobie przytoczyć oryginalne prawidła całkowicie:

1. Zarząd pensyonatu instytutu zastępuje rodziców, braci i siostry uczących się i powinien śledzić za postępami ich w nauce i za prowadze-

niem się — rozwijać w nich poczucie godności kobiecej, a osobistem życiem dawać przykład idealnego życia rodzinnego. Zarząd poczuwa się do obowiązku starać się, by po ukończeniu zakładu panny tworzyły dobre rodziny.

2. Przy pensyonacie jest jeden stały inspektor, główny zawiadowca jego.

Na każdy miesiąc w każdym pokoju naznacza się po kolei ze studentek jedna matka pokoju, która patrzy za porządkiem tego pomieszczenia i jest pośredniczką między uczącemi się i inspektorem lub przełożoną zakładu.

3. Pensyonarki są obowiązane uczyć się starannie, dobrze się prowadzić, jedna drugiej pomagać, jedna drugą kierować; nie powinno być żadnych kłótni i gniewów.

4. Wszystkie pensyonarki mają oznaczoną godzinę dla zajęcia się pozaszkolnego, lecz nigdy nie powinny zapominać wychodzić w stosownej porze na dziedziniec lub na spacer.

5. Powodzenie lub niepowodzenie pracy społecznej wielce zależy od zdrowia lub niezdrowia naszego ciała, dla tego same pensyonarki powinny dbać o krzepkość swego organizmu i ducha.

6. Podczas niezdrowia lub choroby pensyonarki leczy ją przełożona zakładu, a rodzice nie powinni się pod tym względem niepokoić.

7. Jeżeli pensyonarka, pomimo swych usilnych starań, nie może robić należytych postępów i nie ma nadziei na możność ukończenia przez nią zakładu — przełożona jego radzi się z rodzicami, by przenieść pannę do innej szkoły.

8. Wstąpić do pensyonatu i wyjść z niego mogą panny, jeżeli otrzymają pozwolenie swych rodziców.

9. Miesięczna płaca — 7 jenów — powinna być wniesiona zawsze naprzód.

Uwaga. Ponieważ zdrowie ciała i ducha zależy od pokarmu, więc w pensyonacie utrzymanie jest pożywne i świeże.

10. Jeżeli uczące się otrzymują z domu pieniądze, to składa się je w kasie instytutu, skąd mogą otrzymywać częściami na żądanie. Przełożony pensyonatu stara się powstrzymać studentki od zbytecznych rozchodów".

Każda studentka należy obowiązkowo do stowarzyszenia, które raz na miesiąc w dzień świąteczny zbiera się na walne zgromadzenie i tam roztrząsają się kwestye, związane z zawodem medyczek i z przyszłą działalnością młodych panien. Jeżeli sprzyja pogoda, to zgromadzenie kończy się wspólnym spacerem za miasto do jakiejś spokojnej i pięknej miejscowości. Ten Związek studentek wydaje swój własny miesięcznik w forma-

cie niedużej gazety o 8-iu stronach. Artykuły muszą pisać wszystkie uczestniczki po kolei obowiązkowo. Na opłacenie wydawnictwa wnosi każda z uczących się 30 senów na miesiąc i otrzymuje już zatem miesięcznik darmo. Rozsyła się też bezpłatnie miesięcznik wszystkim rodzinom studentek, redakcyom wielu pism peryodycznych, niektórym szpitalom i wyższym żeńskim zakładom naukowym. Abonentów miesięcznik „Dzio-i-kaj“ t. j. „Kobiecy świat medyczny“ ma dotychczas bardzo mało, zaledwie kilkudziesięciu, a rozchodzi się w ilości 700 egzemplarzy. Cena pojedynczego egzemplarza dla nie-członków Związku wynosi 5 senów.

Czynny udział w wydawnictwie przyjmuje i przełożona zakładu, a jej przyjaciółka, doktorka Nagasiwo Sini-ko wzięła na siebie obowiązek: redagować pismo i mienić się oficyalnym wydawcą tego pierwszego pisma medyczek japońskich.

Pani Wasijama prosiła, abym zwiedził jej zakład, a wkrótce potem od niej i od stowarzyszenia studentek otrzymałem zaproszenie na ich miesięczne zgromadzenie i musiałem opowiedzieć o lekarkach w Polsce i w Rosyi; słyszały bowiem, że w tych krajach, po Ameryce, jest największa ilość kobiet, pracujących na tem polu i ruch emancypacyi kobiecej był silniejszy niż u innych ludów europejskich.

W naznaczoną środę — dzień odpoczynku dla zakładu, poszedłem tam z moim przyjacielem Japończykiem, który zgodził się służyć mi za tłómacza. Musieliśmy jechać tramwajem, a potem iść pieszo od środka miasta, gdzie mieszkałem, około godziny drogi. P. Wasijama umyślnie wybrała miejsce dla zakładu w dzielnicy odległej od gwarnego centrum, a zamieszkałej przez bogate arystokratyczne domy, i sławiącej się ciszą i najlepszem w Tokio powietrzem. Wzdłuż wąziutkiej niebrukowanej uliczki, ciągnęły się ogrody, należące do domów i pałaców stojących w ich głębi. U pierwszych jeszcze w tem uroczystem ustroniu otwartych wrót zatrzymaliśmy się, bo mój towarzysz przeczytał na dużej desce nadpis „Dżio-i-gakko“ Żeńska szkoła medyczna.

Na niedużym dziedzińcu stały trzy drewniane, nie okazałe, jak ogromna większość szkół japońskich, budynki. Naprzeciwko wrót piętrowy dom z salami dla wykładów, na lewo nizki, ale obszerny, w japońskim stylu budynek, w którym się mieściło ambulatoryum, pokój dla niedużych operacyi i szpital.

Na nasze spotkanie wyszły dwie panny, dyżurne na ten dzień, i uprzejmie prosiły, abyśmy szli do ambulatoryum, w kilka zaś minut później przyjechała przełożona z mężem i 6-cio letnim synkiem.

Mąż p. Wasijamy, z którym zaraz się zapoznaliśmy, wykłada w szkole niemiecki język i jest inspektorem pensyonatu, zobowiązanym dawać przykład swoim pupilkom wzorowego współżycia małżeńskiego.

Zapewne jeszcze nie zebrały się wszystkie studentki, bo poprowadzono nas do pensyonatu. W każdym pokoju mieściły się 4 panny, były jednak i małe pokoiki na dwie osoby. Jak zwykle w japońskich mieszkaniach nie widać było pościeli, którą się chowa na dzień w specyalne nisze zasuwane — rodzaj szaf. Nie mogłem zauważyć ani jednego kostyumu, lub jego części, jakichś gałganków, lub jego toaletowych narzędzi. Ściany, według zwyczaju japońskiego nie były niczem obwieszone. W niektórych tylko pokojach nad stoliczkami, dla zajęć wisiało po jednej fotografii, lub kartce pocztowej z jakimś sztucznym krajobrazem. Na wielu stoliczkach lakierowanych obok tuszu, kajetów i książek stały kielichy z wodą i z nich wychylał się samotny, na długiej łodyżce kwiat azalii. To jedno chyba mogłoby upewnić, że tutaj zamieszkuje płeć piękna, a nie męska. Stosownie do ilości lokatorek znajdowało się w pokoju tyleż poduszek do siedzenia, stołków i niskich etażerek, zapełnionych książkami. W niektórych pokoikach znajdowaliśmy jeszcze czytające panny, które przy naszem wejściu wstawały i zginały się wpół, składając ręce koło kolan, tj. kłaniały się tak, jak nakazują obyczaje japońskie kobiecie, która robi ukłon, stojąc.

Zajrzeliśmy też do schludnej kuchni, gdzie kilka kucharek przyrządzało tani, lecz posilny dla rasy żółtej obiad z ryby, jarzyn i ryżu.

Już po obejrzeniu całego pensyonatu zostaliśmy wprowadzeni do pokoju tamże się znajdującego i zamieszkanego przez p. inspektora. Tutaj podawało nam kilka studentek japońską herbatę i ciastka, zanim zawołano nas na dół do zebranego już zgromadzenia dwustu przyszłych lekarek.

Nie duża sala wykładowa, rozliczona na jedną klasę, tj. na kilkadziesiąt tylko osób, była przepełniona młodemi, skromnie ubranemi, ciemnowłosemi studentkami, które się zjechały tu z całego kraju, szukać wiedzy, marząc o pracy społecznej i niesieniu ulgi i współczucia cierpiącym, chorym bliźnim.

Po obliczach ogorzałych, po ubiorach, o ile już mogłem się w tem oryentować, widziałem, że większość obecnych przyjechała z prowincyi i nie należy do bogatych rodzin. Z pod prostych, zbitych z białych desek, ławek wysuwały się bose nogi kilku studentek, siedzących w pierwszym rzędzie. Może już i wśród uczących się dziewcząt wytworzył się typ, który wśród młodzieży męskiej był bardzo rozwinięty i jeszcze nie zaginął dotychczas: pogarda dla drobnych spraw życiowych, uszanowanie nędzy materyalnej, bezustanna praca naukowa, myśl rwąca się poza obłoki, bo dla niej „ziema za mała i niebo niezbyt wysokie“.

Nie mogłem powiedzieć wiele o działalności kobiet europejskich na polu medycyny, nie miałem żadnych, tyczących się tej kwestyi, książek. Obiecałem, że po powrocie do kraju postaram się, by rodaczki moje za-

wiązały z niemi stosunek i powiadamiały się wzajemnie o tem, co może ich interesować.

Żeby jednak zadość uczynić życzeniom ich usłyszenia czegokolwiek odemnie — w porozumieniu się z przełożoną opowiedziałem im o tem, co mi było więcej znane: o położeniu, stanie sanitarnym i medycynie ajnosów, wymierającego plemienia pierwotnego, w przeszłości władców całej teraźniejszej Japonii, a obecnie zagnanych wiekowemi walkami na północ, na wyspę Hokkajdo i południową część Sachalinu.

Słyszałem od p. Wasijamy, że 2 japońskie lekarki pracują w Chinach, jedna w Korei i że nie mało z jej wychowanic marzy o pojechaniu do tych sąsiednich krajów, gdzie nie tylko będą miały dużo zajęcia fachowego, ale znajdą zadowolenie moralne z przyjęcia udziału w pracy kulturalnej dla sąsiednich bratnich narodów, co szczególniej po zwycięskiej wojnie stało się wielkim, zaszczytnym celem silnego i pewnego siebie państwa wschodzącego słońca.

Zaznaczyłem, że ajnosi ciemiężeni i uciskani przez Japończyków dawnemi czasy, zasługują też na uwagę i opiekę. Prawda, rząd od czasu reform coś dla ajnosów robi, lecz nie było jeszcze ani jednej kobiety, któraby z popędów humanitarnych poszła do tych ginących stopniowo prostaczków, by oddać im swą pracę i wiedzę i złagodzić niesprawiedliwość ze strony losu i własnych rodaków, tak długo i systematycznie ajnosom wyrządzaną.

Nie wiem, jak zostały przyjęte moje słowa, bo byłem na niezrozumiałej dla mnie dyskusyi, jaka się potem wywiązała, ponieważ poszedłem z przełożoną i jej mężem oglądać inne sale wykładowe i nieduży ogród, gdzie się budował nowy, piętrowy, drewniany gmach. Oczekiwano w następnym roku szkolnym znacznie większej liczby słuchaczek, dla których teraźniejsze sale byłyby za ciasne.

Odszedłem, unosząc przyjemne wrażenie z tego cichego zakątka, skąd mają wyjść przyszłe, pożyteczne dla społeczeństwa działaczki, i życząc szczerze temu pierwszemu i jedynemu dotychczas w Azyi kobiecemu instytutowi medycznemu jak najświetniejszego rozwoju.

Gdy odjeżdżałem już z Tokio, odprowadzany przez grono moich przyjaciół, zauważyłem jedną ze studentek medyczek, którą widywałem też kilka razy u znajomego literata. Była to córka dość bogatego doktora i mówiła mi, że marzy, by mogła po otrzymaniu dyplomu lekarskiego, pojechać do Niemiec; obiecała zajechać i do mojej ojczyzny.

— A więc zobaczymy się za parę lat w Europie? — spytałem ją przy ostatnich pożegnaniach.

— Nie — odpowiedziała, spuszczając oczy — pojadę do ajnosów.

(C. d. n.) *Bronisław Piłsudzki.*

JÓZEFINA BUTLER.

Trudno dziś znaleźć człowieka tak całkowicie poświęconego jakiejś idei i z takiem zaparciem się oddanego na usługi najbiedniejszych tego świata, jaką była Józefina Butler, inicyatorka ruchu abolicyonistycznego i długoletnia przewodnicząca „Międzynarodowej federacyi abolicyonistycznej“. Śmierć tej niezwykłej kobiety w dniu 30 grudnia 1906 r., okryła żałobą nie tylko zwolenników idei abolicyonistycznej, lecz cały świat kobiecy, którego prawdziwą chlubą była zmarła.

Życie i działalność Józefiny Butler, opisane w książce „Mój pochód krzyżowy“ (jest po polsku) było rzeczywiście pochodem krzyżowym. Przypatrzmy się kilku stacyom tego pochodu.

Józefina Butler urodziła się w Milfield w Anglii w 1828 r. Ojciec jej, John Grey, był wybitnym ziemianinem i reformatorem społecznym, który przyłożył rękę do takich dzieł, jak Reform Bill z 1832 r., zniesienie niewolnictwa, wolność handlu itp. Józefina była więc w dobrej szkole, patrząc już w dzieciństwie na poświęcanie się dla spraw publicznych. Wogóle tryb życia i atmosfera domu rodzicielskiego dały dobry podkład Józefinie pod względem moralnym, umysłowym i fizycznym. W r. 1852 Józefina Grey wyszła za mąż za Jerzego Butlera, człowieka o wysokiej intelligencyi i szlachetności, który później nieraz osładzał jej swą mocą ducha, ciernie krzyżowego pochodu. Mąż Józefiny Butler zajmował miejsce przy Uniwersytecie w Oksfordzie i tam też Józefina zetknęła się po raz pierwszy z nędzą ludzką. Pewnego razu poszła odwiedzić w więzieniu młodą kobietę, skazaną za zamordowanie własnego dziecka. Za radą męża postarała się Józefina Butler o to, by kobietę tę oddano do jej domu, pod jej opiekę. Pierwsza nieszczęśliwa znalazła pociechę i przytułek pod jej dachem, pierwsza, lecz nie ostatnia.

Tymczasem w Ameryce wybuchła wojna secesyjna. Oboje Butlerostwo sympatyami byli po stronie ruchu przeciwko niewolnictwu i znaleźli się w zupełnem odosobnieniu, ponieważ wszyscy prawie z ich otoczenia, nawet z najbliższych przyjaciół, byli po stronie stanów połudn. Musimy wziąć pod uwagę jeden ważny czynnik, który w uformowaniu się bojowniczki idei abolicyonistycznej odegrał ważną rolę. W 1864 r. Butlerowa straciła w tragiczny sposób ukochaną córeczkę i cios ten bezwarunkowo uczynił jej serce tak wrażliwem na cudze nieszczęście.

W rok później ukazała się pierwsza praca Butlerowej, p. t. „*Nox proecessit*“, w której pisze te głębokie słowa: „Jeśli Bóg dał mi głębsze współczucie dla jednej kategoryi nieszczęśliwych niż dla drugiej, to chyba dla tych niewolnic grzechu, które odczuwają swe poniżenie“.

Obszerne pole pracy społecznej otworzyło się dla Józefiny Butler w Liwerpoolu, dokąd przeniósł się jej małżonek. Ogromne fabryki obejmowały tyle nędzy, że starczyłoby pracy dla setek takich duchów, gorąco czujących. „Dom odpoczynku“ dla samotnych dziewcząt, był dziełem jej rąk i serca.

Tymczasem w Anglii wprowadzono w 1864 r. reglamentacyę prostytucyi na wzór państw kontynentu. Lecz cała odraza Józefiny Butler przeciwko nowemu prawu obudziła się dopiero wtedy, gdy w podróży swej po Europie (w 1869 r.), zapoznała się ze strasznemi skutkami reglamentacyi, z całą okropnością tego systemu. To też zaraz po powrocie do Anglii, rozpoczęła Butlerowa

systematyczną a niezmordowaną walkę z nowem prawem. Chcąc zyskać dla swej idei Europę, udała się znów w podróż, tym razem agitacyjną, którą uwieńczyła stworzeniem „Międzynarodowej federacyi abolicyonistycznej“ w 1875 r. Długo walczyć musiała Józefina Butler, lecz wreszcie ujrzała zwycięstwo swej idei w Anglii: zniesienie reglamentacyi w 1886 r.

Nagrodą za ciernie jej drogi krzyżowej było to, że była jeszcze świadkiem szerokiego rozwoju idei abolicyonistycznej w całym świecie cywilizowanym i posiadła cześć wszystkich szlachetnych serc. *St. Krauz.*

W Genewie d. 20 stycznia 1907 r., odbył się wiec dla uczczenia pamięci Józefiny Butlerowej. Na wiec ten nadesłano mnóstwo depesz i listów, z których jeden podajemy poniżej w tłómaczeniu, ponieważ oświetla on niektóre cechy charakteru wielkiej kobiety.

LIST PANA JAMES STUART.

Carrow Abbey, Norwich 14/I 1907.

Drogi Panie de Meuron!

Niezmiernie żałuję, że nie będę mógł wziąć udziału w zjeździe, który się odbędzie 20 b. m. w sali Centralnej, w Genewie, na cześć pani Józefiny Butler.

Nie mogę wybrać się w drogę, ponieważ nie przyszedłem jeszcze do siebie po ciężkiej influency.

Nie wiele już ludzi żyje z tych, co tak długo, jak ja, pracowali u boku p. Butler; miałem szczęście prawie przez pół wieku brać udział we wszystkich jej pracach. Dlatego też opłakuję jej śmierć, jak mało kto, i chociaż nie będę między wami 20 b. m., nie mniej boleśnie odczuwam stratę tak szanownej i drogiej przyjaciółki.

Pani Butler posiadała nadzwyczajną wprost indywidualność. Dzięki swemu charakterowi, wpływom i pracom, zajęła ona miejsce między tą garstką ludzi, którzy potrafili zmienić bieg wydarzeń.

Dzięki jej życiu zmieniło się wiele na świecie. Jak wszystkie wybitne indywidualności, Butlerowa była kosmopolitką; należała do wszystkich nacyi i wszystkich czasów, o czem świadczą jej prace i ludzie, których zdołała przekonać. Jej „Głos wołającego na puszczy“ był tłómaczony na większość języków, a w każdym kraju uważano ją za rodaczkę.

Józefina Butler była wielkim przewodnikiem mężczyzn i kobiet, w walkach nieustraszonym i biegłym dowódzcą. Jako mowczyni wzruszała serca słuchaczów jak nikt ze znanych mi mowców. Jej przemówienia były silne i trzeźwe. Gdziekolwiek poszła, zostawiała nowe myśli, nowe cele, nowe ideały.

Około jej głównej myśli grupowało się wiele innych; w ten sposób w różnych krajach powstały dzieła, które są świadkami jej wpływów. Nie tylko wiodła bój krzyżowy, lecz podnosiła duchowo tych, co ją otaczali.

Jednak mówić tylko o jej pracach publicznych, a nie mówić o niej samej, byłoby to powiedzieć tylko połowę.

Ale pani Butler była osobą piękną, miłą, i przypuszczam, że nikt nie zapomniał wrażenia, jakie na nim wywarła, gdy ją widział i słyszał po raz pierwszy.

Z duszą artysty, była dobrą malarką i wspaniałą muzyczką; pomimo słabego zdrowia lubiła jazdę konną i wogóle sporty.

Jej działalność i gorliwość nie miały granic; pełna sprytu i dobrego humoru, pomimo poważnych prac, potrafiła bawić się i być wesołą.

Lubiła ubierać się gustownie, lecz skromnie; kochała nadewszystko swego „człowieka“ i męża, który odpłacał jej wzajemnością.

Mówiłem już, że była skrajną kosmopolitką, wszyscy, co ją znali, wiedzą o tem dobrze; pomimo to jednak kochała gorąco swoją ojczyznę a szczególniej kraj, leżący na granicy Anglii i Szkocyi, gdzie się urodziła i gdzie spoczywa teraz między przodkami na cmentarzu Kirknewton; pochodziła w istocie ze starej rodziny tego kraju i może odziedziczyła po nich odwagę, zapał do walki i pogardę dla cierpienia, co ją właśnie charakteryzowało.

Czytywała pilnie biblię i potrafiła się ukorzyć przed majestatem Boga.

Lecz pomimo, że jej wiara pozostała niezłomna, nie zacieśniało to jej poglądów; imiona jej współpracowników najwymowniej świadczą, że była ceniona przez ludzi najrozmaitszych obozów.

Józefina Butler wycierpiała wiele, szczególnie z powodu walki o swą ukochaną ideę: lekceważenie ze strony swych dawnych przyjaciół, brutalne napaści ze strony przeciwników; lecz ona była wyższa nad to wszystko i wpatrzona w swe szerokie plany, potrafiła wśród walk zachować pogodę umysłu i jasność czynów.

Jakaż konkluzya z tego wszystkiego? Oto jedna, że wszyscy powinniśmy być szczęśliwi z tego, że Józefina Butler żyła. Każdy z nas osobiście stał się lepszym i ludzkość cała lepszą się stała przez to, że ona żyła.

Oddany Wam *James Stuart.*

MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ.

I.

Są wielkie, niezbadane tajnie ducha ludzkiego, do których nie każdy dotrzeć się ośmieli i potrafi — i są wielkie, niezbadane tajnie... śmieszności ludzkiej, popularnie głupotą lub kołtuństwem zwanej, którą każdy z nas ma przed oczyma, a na którą jednak nie może znaleźć wyrazu i dopiero, gdy go ktoś z duchem twórczym postawi przed nią, niby przed panoramą faktów, wybucha zdumiony: „Ach, jakie to proste, a jakie codzienne! Że też można to widzieć, a... nie zauważyć!“

Niema w tem na pozór nic dziwnego. W życiu mało rzeczy nas razi. Co innego na scenie. Scena bywa niekiedy karykaturą życia, niekiedy jego dramatem lub farsą, niekiedy zaś tylko jego tragifarsą. Zbiera ona oddzielne cząsteczki ponurego, codziennego dramatu, zestawia je obok siebie lub usuwa w cienie, rzuca na barwny ekran kontrastów, jednem słowem nie daje tego bezpośrednio, obok niej rozgrywającego się życia,

lecz tworzy go lub tylko odtwarza. I nic dziwnego — Scena i Sztuka — to dwie rzeczy identyczne, zaś Sztuka i Życie — to dwie rzeczy różne.

Mimo to jednak są i na scenie różne stopnie tego odtwarzania lub stwarzania życia. Stopnie te potęgują się w miarę różniczkowania sił i talentów, które mają wziąć w nim czynny udział. Niekiedy dochodzą do karykatury wszelkiej sztuki i wszelkiego życia, niekiedy zaś wyłaniają z siebie coś, co można nazwać rzeczywistem życiem, gdyby nie to barwne podścielisko tłumu, które się teatrem zowie, gdyby nie ta zabójcza świadomość, że spełnia się rolę tylko teatralnego widza.

To coś nazywa się wtedy sztuką.

Można nie zgadzać się na takie lub inne upostaciowanie przejawów tej Sztuki, na takie lub inne wcielenie tego scenicznego Piękna, ale przyznać należy i trzeba, że Sztuka ta jest Sztuką, Piękno to — Pięknem.

II.

Wyobraźmy sobie zatem, że znajdujemy się w jednem z t. zw. „porządniejszych“ miast prowincyonalnych, o których wprawdzie Zapolska nie mówi, ale które uplastycznić sobie mamy prawo i możność. Znajdujemy się w pewnem mieszczańskiem środowisku, jakich wiele, mało nawet wiele, wprost legion w naszym skromnym światku mieszczańskim, i — zaczynamy obserwować.

Salonik p. Dulskiej. Mebelki zlekka staroświeckie, lecz praktyczne, zalegają ściany i kąty w symetrycznym porządeczku. A więc stolik na środku, nakryty szydełkową serwetką — dla oszczędności, stary klawikord czy fortepian w przyzwoitem od niego oddaleniu, a zawsze w tradycyjnym kąciku, przy oknie, kanapa, skórą kryta, „vis-à-vis“, foteliki w futerałach w blizkości. Jest nam ciepło, wygodnie, nawet przyjemnie. Marzyć się wprawdzie nie chce, ale „za to“ odczuwa się potrzebę czegoś bliżej nieokreślonego — aha — ciepłej kawusi z kożuszkiem, z mleczkiem... Wtem poznajemy p. Dulską. Osoba dosyć otyła, wprawdzie nie subtelna, ale „za to“ pobożna, czynna, energiczna, dobra gospodyni i dobra matka, odrobinę nawet skąpa, trzymająca się za kieszeń, przytem wszystkiem okruszyneczkę zgryźliwa, uszczypliwa, ale co to szkodzi — grunt, że o moralność w swej kamienicy dba i niemoralności nie zniesie. Wprawdzie słyszeliśmy, że tam, w tej kamienicy nie wszystko się tak znowu „moralnie“ odbywa, że „moralny“ zdaniem p. Dulskiej jest ten, kto płaci, np. kokota z pierwszego piętra, przyjmująca panów u siebie, którzy karetami jeżdżą, niekoniecznie własnemi, ale — karetami; „niemoralnemi“ zaś są ubogie szwaczki i studentki ze strychu, które nic nie mają, a więc wstyd tylko kamienicy przynoszą. Słyszeliśmy wprawdzie jeszcze wiele rzeczy niepochlebnych o cnotach p. Dulskiej i jej charakterze, ale to,

panie święty, potwarz na kobietę czystą, jak szkło, uczciwą, jak złoto. Nie skrzywdzi ona nikogo, nie obmówi, o moralność dba, a grosz szanuje... o ...szanuje!... Jakże bo kobieta, która dziennie trzech mszy słucha, może kłamać! To istna potwarz na p. Dulską. Nic więcej.

Tymczasem przez uprzejmą gosposię poznajemy jej męża. Biedaczek — safanduła. Jest trochę odmiennych przekonań, niż żona. W pierwszych latach pożycia z pewnością radził jej, jak syn-Zbyszko, żeby Boga nadaremno nie wzywała, bo Bóg nigdy nie zagości w tych murach, splugawionych moralną rozpustą i wstrętnem, obrzydliwem kłamstwem, gdzie wszystko robi się tylko dla oka, dla zachowania pozorów, ale nie z wewnętrznej konieczności, z potrzeby, z zasad istotnie umoralniających i żywych. Ale potem dał spokój. Stopniowo tracił energię i siłę, rozpił się i wkrótce stał się popychadłem małżeńskiem, majakiem męzkości, sumieniem milczącem swej ukochanej połowicy. Nie wolno mu nic. Jest traktowany na równi z dziećmi. Wychodzi posłuszny, kiedy pani rozkaże. Kradnie cygara, które skrzętna małżonka przed nim ukrywa. Dostaje 20 groszy na swoje potrzeby, kiedy idzie na miasto. I regularnie wraca na kolacye. To małżonek p. Dulskiej.

A ot — i Dulski junior, Zbyszko, urzędnik c. k. prokuratoryi i... domniemany następca p. Dulskiej. On jeden nie zatracił jeszcze zmysłu moralnego. Wie, co się dzieje w tym domu. Czasem ma dziwną chęć protestowania, piętnowania, smagania „ukochanej mamuńci“ aż do krwi i... bólu głowy. Protestuje też silnie i wiele. Bo też to umysł prawie niepospolity, prawie niecodzienny, zniweczony przez otoczenie, atmosferę, którą roztacza jedyna kobieta w kamienicy — mamuńcia Dulska. Ale Zbysio jest „lampart“. Materyał na rodzonego tatusia. Nie może nic. Ma zaledwie 60 guldenów pensyi miesięcznej, a lubi kobiety, szampana, powozy, lubi życie... Przytem potrzebuje zaprzepaścić swoją energię, zabić w sobie dom i jego nędzę moralną... Trudno, jest Dulskim. A Dulscy są według niego synonimem kołtuństwa, rodzą się już z tem przekleństwem na czole i nic przeciwko temu nie pomoże. Kołtun pozostanie kołtunem, Dulski — Dulskim. Dulscy zawsze muszą być kołtunami. To święte prawo życia, to ich... obowiązek.

Moglibyśmy powiedzieć: nie zawsze!... Bo przyjrzyjmy się tej Meli, starszej córce państwa Dulskich. Jak ta dziewczyna niema w sobie nic z Dulskich, chyba tę bierność. Ależ Mela — to dziwny typ dziecka, nie zepsutego otaczającą go atmosferą, biernego — wdała się widać w tatusia — typ sentymentalnej, na romansach kształconej, naiwnej, miejskiej panienki, która nosi sukienkę po kostki i wszystko jeszcze różowo pojmuje. Nie rozumie tragedyi brata, który ich wszystkich nienawidzi, lecz współczuje mu, bo jest dziewczyną z pensyonarskiem wprawdzie, lecz

nie mniej może uczuciowem i kobiecem sercem. Brat jej jednej nie nienawidzi i mówi jej to głośno.

Co innego młodsza.

To wspaniały projekt na mamusię. Jest rozwinięta i wszystko dziwnie pojmuje. Posiada doskonale rozwinięty zmysł rzeczywistości. Oryentuje się w lot. Mając lat czternaście, tańczy już cace-walk'a. Brat też radzi jej z brutalnym cynizmem, że jak dorośnie, powinna się dekoltować od góry, teraz zaś niech się dekoltuje... od dołu.

Stojąca niejako poza rodzinką, lecz faktycznie w jej kadry wchodząca — to siostrzenica p. Dulskiej — pospolita kokota, że wypowiemy się należycie, mniej może umiejąca zachowywać pozory, lecz nie mniej od ciotuni w maskę towarzyskiej przyzwoitości i obłudy ubrana. Ta jednak umie być i pessymistką, umie patrzeć na życie pod kątem „jak największego użycia" i to jej nadaje pozory charakteru również przez środowisko wykolejonego i zniweczonego życiem. Ale to tylko pozory!... W rzeczywistości zaś jest to p. Dulska numer 2, na mniejszą skalę. Mniej bywa od niej stanowcza, mniej konsekwentna w postępowaniu, natomiast bardziej zwracająca uwagę na rzeczywiste pozory i nie pozwalająca ująć się na przykrych wadach tamtej, sknerstwie, pruderyi i fałszu moralnym. Ma, jak się wyraża p. Dulska, „złodziejski spryt". Jest to p. Dulska współczesnego pokolenia, podczas gdy rzeczywista Dulska należy do pokolenia starszego.

Taką jest rodzinka państwa Dalskich, taka sobie pospolita rodzinka mieszczańska, mająca w sobie dużo subtelności mieszczańskiej (kołtuńskiej) i t. zw. przez p. Dulską „moralności", nie mająca zaś harmonii. Ale to rzecz drobna. Praktyczna p. Dulska zupełnie sobie z tego nic nie robi. Nazywa to przesądem. Co jej po harmonii rodzinnej, która nie przynosi żadnego dochodu. A że tam... stary... ojciec... trochę stęka... trochę ględzi... Zresztą o niego mniejsza... ale że ten dziwak Zbyszko ciągle jej wymyśla... urządza awantury... to trudno... Niedobrane charaktery... Zresztą dzieci zawsze nie umieją się wywdzięczyć rodzicom. (I miej tu dzieci!). Zresztą na Zbyszka jest sposób. Patrzeć na wszystko przez szpary, a zaraz jest inny. Nic dziwnego. Młode piwo!... Potrzebuje wyszumieć...

Sympatyczne charaktery, sympatyczne postacie — nie prawda? A takie żywe, takie plastyczne!... Ale to jeszcze nie wszystko. Rodzinkę trzeba widzieć przy jej warsztacie, wśród codziennych zabiegów i trosk. A więc patrzmy.

III.

Jest taki pospolity, codzienny ranek, a może południe, może popołudnie, jednem słowem pora, którą na scenie trudno zdefiniować i określić. Ale nie. Jest ranek. Pani Dulska tylko co wstała. Jest więc jeszcze

w szlafroku. Kładzie go tylko „do gości“. A że tam właśnie ktoś dzwonił... córeczki wyprawiła na pensyę, męża do biura i krząta się koło gospodarstwa.

Wchodzi „siostrzeniczka“. E... to ona! Niepotrzebnie więc kładła szlafrok. Szkoda go. Trzeba zdjąć. Ściąga go więc coprędzej i ostentacyjnie ściera kurze w białym, perkalowym kaftaniku i czerwonej halce. Dla oszczędności. Następuje śniadanko — skromne, oszczędne — jest świeża szynka z bułkami, jest serek, zaraz będzie kawunia. Ploteczki — pogadanka — obmowa. Wtem wchodzi Zbyszko, niewyspany, blady, rozbity. Ukłony — powitania — wreszcie zgrzyty — karesy pięknej pani, wyćwiczonej w swojem rzemiośle — trochę fortepianu — i wreszcie moment koncentracyjny akcyi. Przez scenę przebiega Hanka, służąca państwa Dulskich i rozbudza apetyt w młodszym Dulskim. Bierze się do niej nie na żarty. To początek dramatu, a jak później zobaczymy, tylko tragifarsy. Pięknej pani, malowanej na rudo blondynie, zaczyna się to nie podobać. Dziwi ją trochę, gniewa. Nic dziwnego. I ona „ma chrapkę“ na Zbyszka. Potem mają się nawet trochę ku sobie. On ją obejmuje, czy całuje, ona podsuwa mu myśl o młodych mężatkach. Ale wchodzi p. Dulska. Zbyszko musi iść do biura, mama tak chce, tak każe. Pozostają same. Spędzają czas na bardzo miłej rozmówce... O podwyższeniu komornego... Tu spryt p. Dulskiej i jej drogiej siostrzeniczki niema granic. Zjawia się notesik. Kombinują, piszą. Wreszcie podwyższają komorne o 20 guldenów ubogiej studentce, dla tego tylko, że ma teraz dużo lekcyi, więc może płacić, a wstyd tylko przynosi kamienicy — i w trakcie ożywionej, ochoczej dysputki nie spostrzegają, jak nad niemi zapada kurtyna.

Upływa parę tygodni, może miesięcy, może dwa, trzy... i tym razem widzimy trochę papy. Odbywa w saloniku spacer na kopiec Kościuszki, z zegarkiem w ręku. Niebawem wpada młodsza panienka. Żartuje z papy na temat kopca. W przerwach skacze na kanapę i mizdrzy się do lustra. W „papci“ budzi się zmysł moralny. Gniewnie sprowadza córeczkę i wykłada jej coś niezrozumiale. Wreszcie daje spokój, mruczy i chodzi po pokoju, powłócząc nogą. Panienka wychodzi. Papo decyduje się. Patrzy na zegarek. Ma wyjść. Przedtem jednak, oglądając się, czy go kto nie widzi, lękliwie bierze z pieca „cygarko“, gdzie je chowa skrzętna żonusia, i zadowolony z siebie, puka do niej. Wchodzi p. Dulska. Aha — już! Wraca do siebie i wynosi stamtąd dwie 10 centówki. Papo zdumiony. Nowa decyzya. Dostawał przedtem „tygodniówki“, teraz po ostatniej birbantce z kolegami będzie dostawał tylko „dniówkę“. Ha! trudno... Godzi się z losem, podkręca nawet wąsa i ostentacyjnie opuszcza salon. Opuszcza go także mamusia. Pozostaje córeczka. Zauważyła ona ruch papy. Korzysta z chwili i kradnie dla siebie cygarko. Łapie ją jednak na tem

Mela. Tajemnica — zwierzenia pensyonarskie, pełne sarkastycznego dowcipu rezolutnego smarkacza, w różowej sukience. Wreszcie walc... cace-walk!!! i... znowu Zbyszko. Zgroza. I w nim budzi się zmysł moralny. Co to?! Te smarkacze i... cace-walk!!! Świat się kończy! Ale prawda... to — Dulskie!... Prędko więc rezygnuje z moralności i sam bierze się do cace-walk'a. Uczy nawet siostrę, jak się jej trzymać należy. Tańczą. Szał cace-walk'owy, potem pani Dulska, potem krzyki, lamenty, w końcu porwanie z sobą młodszej córeczki i ucieczka do miasta.

Zbyszko sam. Na scenie zmrok. Lampy zapalać nie można. Pogrąża się w rozpaczy i zdaje się, usypia. Niepostrzeżenie, trwożliwie wchodzi do pokoju Hanka, przybiega do rąk Zbyszkowi i całuje je namiętnie. Panicz się budzi. Budzi się też świadomość. Już po wszystkiem. „To“ może nastąpić. Trzeba się tylko dowiedzieć, czy to jest prawdą. Zbyszko posyła Hankę tam, gdzie jej mają wszystko powiedzieć. Sam czeka. Tymczasem Mela jest chora i pragnie wyspowiadać się bratu. To inny typ w rodzie Dulskich. Zbyszko to widzi. Chwali panienkę. Wreszcie dowiaduje się od niej o s w o j e j miłości z Hanką. Ma to dla niego nieprzyjemne refleksye. Mela jest romantyczna — bada, przypuszcza, nasuwa myśli, obiecuje pomagać, by miłość brata i Hanki doszła do skutku. Tego już nadto. Dostaje odprawę i nadąsana wychodzi z pokoju. Dowiaduje się także, że Zbyszko jej nie nienawidzi.

Po chwili wraca Hanka. Wszystko prawda. Hanka, uwiedziona przez Zbyszka, będzie matką. A więc skandal, płacz, łamanie rąk, dusz tragedya. Zbyszko rzuca się, jak wściekły, wybiega wreszcie na miasto. Ale Mela, sentymentalna, naiwna Mela, czuwa. Dowiaduje się coś niecoś od Hanki, widzi jej rozpacz, wie o jakiemś dziecku cudzem i wywnętrza się z tem wszystkiem przed przybyłą w swoim czasie ciocią. Tu jednak wchodzi *spiritus movens* dramatu — p. Dulska. Jeden nierozważny skandal rodzinny i oto wie o wszystkiem. Nie dość na tem, wiadomość tę potwierdza Hanka. Ale Zbyszko! Gdzie Zbyszko?. Aha. Otóż i on! A więc tak. Wiedzą o wszystkiem, wyrzucają mu, że popełnił podłość. Tak. Podłość. A więc on pokaże im, że nie jest Dulskim, on weźmie na siebie konsekwencye tego czynu, on się ożeni z Hanką. Mówi to z mocą i głośno. Dulska mdleje. Powszechne zdumienie. Kurtyna.

Dzień następny po przeżytej tragedyi. Poranek. Ogólne rozprzężenie. Panienki nie idą na pensyę, Zbyszko do biura. Dulska cierpi migrenę. Ma obwiązaną głowę. Co robić?! Co robić?! Hanka jej synową! Nie! Ona tego nie przeżyje! Ale od czegóż spryt, od czegóż siostrzenica. Pertraktacya. Siostrzeniczka bierze się ostro do rzeczy. Jej podły charakter i doświadczenie w tych sprawach występuje w całej pełni. Znajduje się nawet jakaś matka chrzestna Hanki. Niby praczka. Układy. Ale Zbyszek!

On się przecież chce żenić z Hanką. Nie, to trzeba raz z tem skończyć! Trzeba przemówić do jego „intelligencyi“, do jego nawyknień towarzyskich i życiowych, do jego synowskiego sumienia. A więc rendez-vous ze Zbyszkiem. Zbyszko, oczywista, ulega. Tysiąc koron odszkodowania. P. Dulską głowa przestaje boleć. Wraca dawniejszy rygor. Panienki idą na pensyę. A Zbyszko?! Obiecuje... „zalampartować się na śmierć“.

Takim moralnym zgrzytem kończy się sztuka Zapolskiej. Jak w życiu! Nawiasem mówiąc, wlała ona tyle tego życia, tyle plastyki w swych bohaterów i bohaterki, że nieledwie ma się żal do niej, że to już akt trzeci i... ostatni.

IV.

Typy Zapolskiej — to typy rdzennie mieszczańskie. Spotykamy ich wszędzie. W marnej mieścinie i w miastach stołecznych. W arystokratycznych salonach i w „sknerstwem ziejących“ skromnych „pokojach dla przyjęć“ kamieniczników. W buduarach i suterynach. Typy takie są tak powszechne, tak ogólno „ludzkie“, że pewna lokalność na ich rysunek nie wpływa. Nie odczuwa się jej nawet, gdy się na nie patrzy. A jeżeli i widzi się ją, to nawet nigdy nie występuje ona jako ujemna, lecz zawsze dodatnia cecha komedyi. Wzmacnia wrażenie.

Dulscy i panie Dulskie — to dławce, wyrażając się stylem Maryana Wawrzenieckiego. Przekleństwo ich ciąży, jak zmora, nad każdym odruchem społecznym, nad życiem. I im więcej wczuwa się w nich, im więcej ich się rozumie, tem bardziej widzi się, jak straszną rolę odgrywają w życiu i jak nic im nie zawdzięcza to życie. Są oni podporami konserwatywnego ładu i porządku. Tem też tłómaczy się, że tak ostro w ich obronie występuje krytyka konserwatywna. Nie pozwala obdzierać z nich nic. Są to dla niej typy święte, nietykalne, stojące na straży moralności społecznej, cnót społecznych. Moralność ta jest podwójna, o tem dobrze wiedzą „krytycy“. Ale życie ich jest również podwójne: co innego dla siebie, co innego dla „świata“. Każdy rozumny człowiek nie będzie przecie burzył tej zasady. Bo gdzież sens, gdzie rozum. A zresztą, czy może? Dulskich jest tak wiele. Zakrakają go, zakrzyczą. Będą fizycznie i moralnie gnębić, znieprawiać, uniemożliwiać wszelki ruch, wszelką akcyę. Tu trzeba się narazić o p i n i i. A opinia dzisiaj — to wszystko. Karyera, majątek, sława, zaszczyty — wszystko to należy dzisiaj do opinii, do Dulskich.

A jednak są ludzie, którzy porywają się na ten doniosły czyn herostratesowy, a jedną z pierwszych pośród nich jest autorka „Pani Dulskiej“. Artystka ta już od dawna czuje nienawiść do wszelkiego filisterstwa, wszelkiej podłości, wszelkiego brudu. Wywleka go za uszy, skąd tylko może. Stosunki mieszczańskie znane jej są nie od dzisiaj. Osnuła już na

nich nie jedną pracę, nie jeden kąt zdemaskowała. Pamiętna jest powieść jej p. n. „Antysemitnik“, drukowana w swoim czasie w „Życiu“, a osnuta na typowych stosuneczkach w jednej z tutejszych redakcyek, które i dziś nic się jeszcze nie zmieniły. Redakcya ta dotąd stale i zasadniczo pomija Zapolską w jej sukcesach scenicznych.

Ale jest to zaledwie jeden z drobnych przejawów wpływu jej twórczości na społeczeństwo. Tam wiwisekcyonowała jednostki, obecnie wiwisekcyonuje całe to filisterskie środowisko, wśród którego nie jeden z nas zmuszony jest żyć, nie jeden z nas zmuszony zapierać się najświętszych uczuć, najwznioślejszych przekonań, — wyrzekać się praw swych. A jakąż doskonałą wiwisekcyą na organizmie społecznym, dotkniętym gangreną, jest ta „Moralność p. Dulskiej!“ Jakąż potężną symfonią jest ta pieśń życia, shańbionego, sponiewieranego życia, która się z tych nizin społecznych wyrywa! Odczuwa się to pragnienie w niem zawarte, rozumie się ten straszny, beznadziejny ból nizin i to bolesne fatum życia, i tę rozpacz niewymowną dusz płytkich i zdegenerowanych, które tęsknią, które szukają i które... błądzą. I jest to wielkie zwycięstwo Zapolskiej, zwycięstwo nad podłością tak doniosłe, że nie obniży go nikt, komu nie obce są szlachetne dążenia ludzkości, komu nie obca jest duchów jej walka.

V.

Wiemy wszyscy doskonale, jak wspaniałą techniką sceniczną odznaczają się sztuki Zapolskiej. Czy to weźmiemy „Małkę Szwarcenkopf“, czy „Tamten“, czy „Ahaswera“ (Mężczyzna), czy wreszcie świeżo wystawioną „Moralność p. Dulskiej“ — żadnej z nich nic pod względem scenicznym zarzucić nie można. Chyba to, że zbyt dobra jest ta ich robota sceniczna, zbyt niekiedy po aktorsku efektowna i mocna.

To też wad w sztukach Zapolskiej nie należy szukać w wykonaniu, lecz w samym temacie niekiedy, w pewnych niedoścignięciach twórczych, wypowiadaniu się zbyt efektownem lub przesadnem, częstokroć jaskrawem, w niejednolitości i opracowaniu typów. Wady te w mniejszym lub większym stopniu powtarzają się we wszystkich powieściach Zapolskiej — powtarzają się też w jej sztukach.

„Moralność p. Dulskiej“ ma ich może mniej, niż wszystkie poprzednie, ale ma. Znika ta wązkość zasadniczych założeń, oświetlonych przez pryzmat poglądów naturalistycznych à la Zola (słabe odgłosy tego widzimy jeszcze w „Ahaswerze“, jednej z ostatnich sztuk Zapolskiej, ale znać jeszcze starą szkołę naturalistyczną, widać ją w technice, co do której niema dwóch zdań, widać ją także w doborze materyału i ujęciu go. Dlatego też „Moralność p. Dulskiej“ — to dobra realistyczna komedya. Nic więcej. Wprawdzie takich dobrych, realistycznych komedyi mamy

w literaturze naszej nie wiele, ale je już mamy. Literatura typów i środowisk typowych, wytwarzających t. zw. komedyę społeczną, to rzeczy nadto nam — choćby z twórczości starego Fredry, Bałuckiego, Lubowskiego, Dobrzańskiego, Zalewskiego, Przybylskiego i kilku innych — znane. Nam chodzi, że się tak wyrażę, o „nowy dreszcz", o to, czegośmy dotąd jeszcze nie mieli, czegośmy nie widzieli. To wszystko, co nam daje Zapolska, dawali nam i Molier, i Sardou, i Scribe, i Suderman, i Ernst, i Brieux, i Capus wreszcie. Mówię tu oczywiście o technice. Wprawdzie u niej niema karykatury życia, co się nieraz spotyka u tamtych, nie mniej jednak to nas nie zadawala, a do literatury naszej nic nowego nie wnosi, lub bardzo nie wiele. Tych samych stosunków dotykają nasi młodsi pisarze: Krzywoszewski, Kisielewski, Perzyński i Kawecki wreszcie. Lecz tam czuć, że w sztuce ich jest coś młodego, coś oryginalnego, coś potężnego, co przez nieudolną niekiedy, a w każdym bądź razie mniej skończoną, niż u Zapolskiej, formę, rwie się, przebija, daje „dreszcze" i nowe formy stwarza. Tego u Zapolskiej nie czuć. U niej bezwzględne, realistyczne życie, przyprawione sosem naturalistycznym, nie może się wyzbyć swej przyziemności, i choć ono krzyczy, choć bije swą jaskrawością i siłą, to jednak czuć, że to nie to, co u tamtych, młodych. Brak mu zawsze powietrza i nigdy się ono wznieść nie może. A jeżeli się wznosi, to wnet opada. Męczy go wysiłek, a bliskie sąsiedztwo z niebem, o rozstrój przyprawia. Wtedy jest to życie na szczudłach.

Ale Zapolska inaczej tworzyć nie umie. To trudno. Szczytem jej, gdy wzniesie się do pewnej harmonii, gdy da dzieło skończone. A takiem dziełem skończonem jest bez wątpienia „Moralność p. Dulskiej". Wprawdzie i tu pewne jaskrawe refleksy rzucają na typy i postacie nie te odcienie, któreby autorka włożyć na nie chciała, lecz to całości nie obniża, nastroju sztuki nie psuje, a pozwala jej stanąć na tym piedestale, który dla niej bezstronna i dobrze ono zadanie pojmująca publiczność wznosi.

Znaczenie społeczne i ideowe komedyi — olbrzymie, mniej doniosłem jest jej znaczenie literackie. Ale fakt pozostanie faktem, że życiu naszemu wydarto pewne podłoże, na którem się zgnilizna i robactwo moralne płodzi, zaś „pewnym jednostkom" odjęto oparcie i ów listek figowy, moralnością zwany.

Kraków. *Bolesław Podlewski.*

KRONIKA.

Towarzystwo Kultury Polskiej. Pisaliśmy już o tej, tak poważnej i pożytecznej instytucyi, na czele której stoi A. Świętochowski. Zapoznajmy się bliżej z nią. Dzieli się ona na sekcye: oświatową, społeczną, etyczną i t. d.

Sekcya oświatowa przystępuje do wybudowania wzorowej szkoły elementarnej w Grochowie pod Warszawą. Szkoła ta ma być wzorową pod każdym względem, nauczanie w niej — bezpłatne. Prócz tego sekcya opracowuje całokształty wskazówek hygienicznych, pedagogicznych i technicznych dla zakładających szkoły elementarne. Dział hygieniczny ukończono już i ma się on ukazać w formie popularnej broszury.

Sekcya społeczna zajmuje się sprawą organizowania bezpartyjnych związków zawodowych. W celu szerzenia nauk społecznych wśród jak najszerszych warstw ludności, mają być wydawane tanie broszury, traktujące o najważniejszych zagadnieniach społecznych.

Coraz więcej ludzi garnie się do pracy pod sztandarem T. K. P. W odrodzeniu narodu polskiego, szczególnie zaś Królestwa. Towarzystwo to odegra zapewne pierwszorzędną rolę.

Z ruchu etycznego. Wszyscy czytali już o wiecach na temat etycznych zagadnień, jakie odbywały i odbywają się w Warszawie; pisaliśmy o sekcyi etycznej Tow. Kultury Polskiej, wiadomem też jest zapewne, że w Krakowie założono oddział towarzystwa abolicyonistycznego; teraz należy się słów parę zagranicy. Zacznijmy od Francyi. Organizacya ruchu etycznego nosi tam miano „Union pour la vérité“. Celem tej „ligi prawdy“ jest: „Przez przykład i propagandę pielęgnować miłość prawdy i sprawiedliwości w życiu prywatnem i publicznem“.

Ruch etyczny rozwija się w Austryi. „Towarzystwo etyczne“ posiada obecnie oddziały: w Wiedniu, Krakowie, Güntersdorfie. W łonie tego towarzystwa powstała myśl założenia „Austryackiego Związku ochrony matek“, na wzór istniejącego w Niemczech. Prócz tego istnieje zamiar urządzenia ankiety w sprawie reformy praw o umysłowo chorych.

W Niemczech ma się odbyć w maju III. kongres „Towarzystwa zwalczania chorób wenerycznych“, na którym mają być szczegółowo omawiane sprawy seksualne w pedagogice.

Wiece w Warszawie: Rozwiecowała się Warszawa na dobre, wymyślając przeróżne wiece: były tam wiece polityczne, wiece na temat reformy małżeństwa, wiece o szkolnictwie, wiece matek i wreszcie córek. W takiej powodzi nic dziwnego, że trafi się niejedno słowo bezwartościowe, niejedna chwila stracona na darmo, lecz było dużo i ciekawych, pożytecznych chwil i słów, tylko, że niestety... wtedy najmniej było słuchaczów! Da się to np. powiedzieć o wiecu w sprawie szkolnictwa galicyjskiego, jaki odbył się w lutym w Warszawie. Wiec ten odznaczał się bogatą treścią i referentami, znającymi przedmiot gruntownie. Pani dr. Golińska mówiła o demokratyzacyi wiedzy w Galicyi, p. Kulikowska zapoznała słuchaczów z działalnością dwu instytucyi oświatowych: z Uniwersytetem Ludowym im. A. Mickiewicza i powszechnemi wykładami uniwersyteckiemi, zaś p. K. Bujwidowa przedstawiła i skrytykowała galicyjskie stosunki szkolne, popierając swe wywody bogatym materyałem statystycznym.

Na jednym wiecu matek p. Michalski odczytał projekt ustawy „Związku

rodziców i wychowawców", którego celem byłoby: popularyzacya wiedzy pedagogicznej i wcielanie reform wychowawczych. Wogóle, projekty rodzą się jak grzyby po deszczu i można nadążyć zaledwie z wyliczaniem ważniejszych. Do takich należy również projekt p. Bukowińskiego, założenia Towarzystwa budowy gmachów szkolnych.

Był i wiec córek, na którym przemawiały młode dziewczęta przeważnie, skarżąc się na wiele, wiele rzeczy zupełnie słusznie.

Wiec matek w Krakowie. Na wzór wieców, urządzanych w Warszawie, odbył się i u nas wiec podobny, zwołany przez pp. Bujwidową, dr. Tylicką i Stączkową. Omawiano sprawy pedagogiczne. P. H. Radlińska oddała hołd rodzicom dzieci poznańskich, którzy pomagają swej dziatwie w walce o utrzymanie polskości w szkołach; p. Szczawińska-Dawidowa z Warszawy poddała krytyce szkolnictwo nasze, czerpiąc materyał przeważnie ze szkół zaboru rosyjskiego; p. dr. Tylicka nawoływała do fizycznego kształcenia młodzieży. Wogóle wiec mógł posłużyć rozszerzeniu nowych haseł pedagogicznych wśród ogółu, tak mało w tych sprawach uświadomionego.

„**Budowlane towarzystwa urzędnicze** zawiązały się we Lwowie, Krakowie, Sanoku, Stanisławowie, Tarnopolu, Trembowli, Stryju, Jarosławiu i Tarnowie i mają już uchwalone statuta, a wkrótce zostaną założone takie towarzystwa w 11 innych miejscowościach naszego kraju. Pożyteczna ta akcya ożywiła się bardzo w styczniu br., a zachęcają do niej swoich mężów i znajomych nasze dzielne i energiczne panie, których inicyatywa jest bardzo pożądaną dla uzyskania stałych siedzib domowych.

Niektóre z tych towarzystw zakupiły już małe parcele budowlane i jest uzasadniona nadzieja, że na wiosnę br. rozpocznie się budowa domów urzędniczych, w czem popierać będzie te towarzystwa krajowy Związek jak najusilniej.

W państwie niemieckiem nie tylko rząd, lecz także gminy popierają skutecznie takie towarzystwa, urządzając dla nich własnym kosztem drogi, wodociągi i kanały, a większe gminy użyczają im także potrzebnych do budowy pieniędzy bez procentu lub na niski procent.

W Austryi pocieszającem jest to, że rząd uznał już potrzebę poparcia takich towarzystw udzielaniem im tanich pożyczek ze skarbu państwa, a I. austr. budowlane towarzystwo urzędnicze w Wiedniu wypracowało już memoryał w tej sprawie i wręczy go wkrótce rządowi, który przyrzekł już takiemu towarzystwu w Pradze nisko-procentową pożyczkę. W naszym kraju dotąd tylko gmina miasta Krakowa oświadczyła gotowość odstąpienia towarzystwu urzędniczemu część gruntów pofortyfikacyjnych po cenie 25 kor. za 1 sążeń kwadr. z urządzeniem dróg, kanałów i wodociągów swoim kosztem. Spodziewać się jednak należy, że i inne większe gminy Galicyi, dla poparcia tej ważnej akcyi i powiększenia swoich dochodów dodatkami do podatków, postąpią za naśladowania godną ofiarnością gminy miasta Krakowa, albowiem niewątpliwem jest, że od dobrobytu urzędników i nauczycieli zawisło pomyślne powodzenie także kupców i rękodzielników, którzy w większych miastach przeważnie od tych mieszkańców czerpią swoje dochody i zyski.

Przytem zaznacza się, że za połowę kapitału potrzebnego do budowania, mogą wprawdzie interesowani wybudować sami domy dla siebie, jednak o wiele drożej bez pomocy towarzystw, które przy nabyciu większego kompleksu gruntu i oddania przedsiębiorcy większej ilości domów do budowy, uzyskają niewątpliwie niższe ceny, niż poszczególne osoby, gdyż one musiałyby

za kawałek gruntu budowlanego zapłacić bardzo drogo i uiścić budowniczemu (który dla zachęcenia do budowy przedstawia zwykle nizko obliczony kosztorys, a w ciągu budowy podwyższa go, co zdarza się często na prowincyi) o wiele wyższą sumę niż wynosi rzeczywista wartość wybudowanego domu. Nadto poszczególne osoby nie mogą mieć należytej rękojmi, iż budowa będzie solidnie wykonaną, bo ciągła kontrola budowniczego przez znawcę fachowego jest za kosztowna, towarzystwa zaś mając w swojem gronie członków fachowych, mogą przez nich taką kontrolę łatwo wykonywać.

Pisemnych informacyi w sprawie zawiązywania samorządnych towarzystw budowlanych na prowincyi udziela na żądanie najchętniej p. Mieczysław Aleksandrowicz, nadradca przy namiestnictwie we Lwowie.

Ochrona dzieci zaniedbanych. W „Szkole“ znajdujemy ciekawe dane co do ochrony zaniedbanych dzieci w różnych krajach. W dniu 18, 19 i 20 marca b. r. ma się odbyć w Wiedniu pierwszy austryacki kongres dla ochrony dzieci, w którym i Galicya przez swych reprezentantów weźmie udział.

Komitet, urządzający ten kongres, wydał w dwóch obszernych tomach szereg rozpraw wybitnych pedagogów o sprawach, związanych z ochroną dzieci. Ciekawą jest rozprawa dra Baernreithera o zakładach wychowawczych dla młodocianych przestępców.

W Galicyi niewiele na tem polu zrobiono i dopiero teraz grono ludzi podjęło myśl utworzenia tu podobnego zakładu. W Królestwie istnieje w Studzieńcu t. zw. „Osada rolna poprawcza“, w której młodociani przestępcy przy pracy rolniczej spędzają czas przymusowego odosobnienia. W Niemczech, zwolennik Pestalozzi'ego, Wichern, jeszcze w 1883 r. założył w miejscowości Horw pod Hamburgiem wzorowy zakład wychowawczy dla zaniedbanej młodzieży. Biskup Kettler położył na tem polu również duże zasługi. Obecnie istnieje w Niemczech mnóstwo takich zakładów, w samych Prusach 683 z majątkiem 100 milionów marek! Znajduje się w nich około 30 tysięcy dzieci.

We Francyi rozpoczął ruch na tem polu Demetz przez założenie osady rolniczo-rzemieślniczej dla zaniedbanych dzieci w Mettray w r. 1830. Od tego czasu do 1900 r wyszło z tego zakładu 7324 dzieci. Rządowych zakładów tego rodzaju dla chłopców jest 8 i 1 dla dziewcząt; dla tych ostatnich istnieje prócz tego 7 prywatnych zakładów.

W Anglii początków pracy tej szukać trzeba w XVIII. w. jeszcze, ale rozwój jej datuje się od 1833 r., gdy Brenton założył zakład dla przestępców młodocianych. W 1850 r. w samym Londynie liczono 30 tysięcy zaniedbanych i występnych dzieci! W 1849 r. powstał wzorowy zakład w Redhill pod Londynem i od tego czasu powstają coraz to nowe zakłady, dzięki rozwiniętej samopomocy społecznej. Lord Baker i p. Mary Carfenter niestrudzenie pracują w tej dziedzinie. Angielskie zakłady poprawcze dbają zarówno o fizyczny, moralny i umysłowy rozwój swych wychowanków i mogą się pochwalić wspaniałymi doprawdy rezultatami.

Z walki o prawo głosowania. Namiestnictwo dolnoaustryackie zabroniło zamierzonego przez grupę kobiet utworzenia stowarzyszenia, mającego na celu uzyskanie prawa głosowania dla kobiet. Zakaz opiera się na § 30 ustawy o stowarzyszeniach z dnia 15 listopada 1867 r. (!), podług którego kobiety i nieletni nie mogą być członkami stowarzyszeń politycznych. Stowarzyszenie, mające na celu uzyskanie prawa głosowania dla kobiet, jest politycznem. Inicyatorki stowarzyszenia tego postanowiły wnieść zażalenie przeciw

orzeczeniu namiestnictwa do ministeryum spraw wewnętrznych, które niezawodnie zniesie zakaz namiestnictwa, opierający się na przedpotopowych paragrafach, niezgodnych zupełnie z duchem czasu.

W Szwecyi również walczą kobiety o prawo głosowania. Dnia 6 b. m. parlamentowi szwedzkiemu przedstawiono zbiorową petycyę kobiet szwedzkich, dotyczącą prawa głosowania. Petycya zawiera 19 tomów ze 142.128 nazwiskami. Na podobną petycyę przedstawioną w 1905 r. parlament odpowiedział, „że żądanie praw politycznych kobiety wśród samych kobiet nie jest jeszcze dość wyraźnie zaznaczone". Przekonywująca ilość podpisów, zebranych przez 73 stowarzyszeń, może wpłynie na zmianę zdania.

Jedno z pism amerykańskich przytacza ciekawe statystyczne dane, dowodzące, że kobiety korzystają ze swych praw politycznych tam, gdzie je posiadają. W Australii południowej do głosowania stanęło 59% mężczyzn i 42% kobiet. W Nowej Zelandyi do wyborów w 1902 r. stanęło 75% kobiet i 76% mężczyzn. W amerykańskim stanie Colorado udział kobiet w wyborach wpływa w ten sposób, że niema już teraz wśród urzędników tylu pijaków, karciarzy, handlarzy spirytualiami itp., takim kandydatom kobiety nie pozwalają wyjść z urn wyborczych.

Wysokość alimentów. W różnych państwach mają być uregulowane przepisy co do wysokości alimentów, należących się matce nieślubnego dziecka. W Niemczech wysokość alimentów stoi w prostym stosunku do stanu, z jakiego pochodzi matka, w Austryi jest racyonalniejszy przepis, że stosuje się do materyalnego położenia ojca. Nowy przepis w Berlinie określa jako sumę, należącą się matce-robotnicy na 25 marek w pierwszym, a 20 marek w następnych latach życia dziecka. W Austryi ojciec, należący do stanu robotniczego płaci 10, najwyżej 16 koron miesięcznie!

Właśnie w tym czasie ma rząd duński przedłożyć parlamentowi do zatwierdzenia projekt prawa, któryby zapewniał lepszy byt dzieciom nieślubnym. Obowiązek opieki nad dzieckiem i jego utrzymania ma być podzielony pomiędzy ojcem i matką, o ile ta ostatnia zdolną jest do zarobkowania. Jeżeli jednak dziecko jest wynikiem zgwałcenia, to utrzymanie jego jest obowiązkiem ojca. Ważną nowością w tym projekcie ma być zrównanie dzieci nieślubnych ze ślubnemi w kierunku praw do dziedziczenia majątku po ojcu.

Ten nowy projekt zawdzięcza Dania staraniom duńskiego Związku kobiet, które dowiodły, że śmiertelność wśród dzieci nieślubnych wynosi 22%, gdy wśród ślubnych nie przekracza 11%!

Kobiety nadzorczyniami w więzieniach. Przed rokiem w więzieniu krajowem w Wiedniu zamianowano tytułem próby kilka kobiet nadzorczyniami w więzieniu kobiecem. Próba wypadła tak dobrze, że teraz zaprowadzono tę nowość i w wielu innych więzieniach kobiecych w Austryi.

Kandydatki na posłów w Finlandyi. Wszystkie partye w Helsingsforsie wystawiły obok kandydatów i kandydatki do nowego sejmu finlandzkiego. Szwedzka partya ludowa stawia kandydaturę pani Hagmanowej; młodofińska partya — p. dr. Maikki-Friberg; starofińska — baronowej Grippenberg.

S. K.

O handlu kobietami. Ministeryum sprawiedliwości w Rosyi wniosło do rady ministeryalnej projekt praw, mających zapobiedz rozpowszechnionemu handlowi kobiet w celach nierządu, które mają być wniesione do niedawno ogłoszonego (w 1903 r.) kodeksu karnego.

Według projektu oczekuje kara więzienia różnych terminów, stosownie do cięższych lub lżejszych okoliczności, towarzyszących winie każdego, kto będzie skłaniał kobietę niepełnoletnią do wyjazdu za granicę i zajęcia się prostytucyą. Za użycie przytem groźb lub gwałtu, winny będzie zasądzony do domu poprawczego nie wyżej trzech lat. Ta sama kara spotka tych, którym będzie udowodnione, że te karygodne czyny stanowią ich stały przemysł. Prześladowane też ma być skłanianie do zajęcia się nierządem przy pomocy gwałtu, gróźb, oszukaństwa, nadużycia władzy nad zależną lub bezbronną dziewczyną. Więzienie grozi takim rodzicom, mężom lub opiekunom, którzy starają się wykorzystać materyalne wygody z kobiety, zajętej nierządem i znajdującej się pod ich opieką lub w ich zależności. Więzieniem mają być karani też właściciele lupanarów, ktorzy przyjmą do siebie kobietę, mającą mniej niż 21 lat, albo zatrzymują takie, które chcą porzucić hańbiące rzemiosło. *B. P.*

Walka o prawa kobiece w Anglii. Liga sufrażystek, dążących do politycznego równouprawnienia kobiet, 31 stycznia okrążyła parlament ze wszystkich stron i urządziła szumną manifestacyę, która trwała koło 5 godzin i zakończyła się tem, że konna policya ropędziła demonstrantki. W manifestacyi uczestniczyło 800 kobiet, kobiety po kilka razy urządzały prawidłowe ataki w celu wtargnięcia się do gmachu parlamentu, przyczyną protestu był brak napomknienia w mowie tronowej o żądaniu przez ligę przyznania praw wyborczych dla kobiet. Policya urządziła dużo aresztowań. Nazajutrz odbył się sąd nad sufrażystkami. Podsądne wniosły protest przeciwko postanowieniom sądu, który kieruje się prawami, wydanemi przez mężczyzn bez uczestnictwa kobiet. Sąd przysądził demonstrantkom płacenie kary od 10 do 20 funtów szterl., albo aresztu od 7 do 21 dni, wszystkie wybrały to ostatnie. *B. P.*

Wiec w sprawie obyczajności publicznej i ekonomicznego położenia kobiet. Wiec zagaiła p. Marya Turzyma przemówieniem, w którem wskazała ścisły związek sprawy obyczajności publicznej i ekonomicznego położenia kobiet, czemu poświęcono już poprzednio wiece etyczne. Mówczyni wymieniła realny cel zwołania wiecu, mianowicie przysporzenie funduszów tak sympatycznej instytucyi dobra społecznego, jak „Towarzystwo opieki nad kobietami“.

Po objęciu funkcyi przewodniczącego przez inżyniera Potemskiego, pierwszy głos otrzymała p. Marya Turzyma i przykuła uwagę licznie zgromadzonej publiczności do swego pięknego referatu „O dostojeństwie miłości“, Zaznaczywszy we wstępie, że ludzkość posiadała poczucie dostojeństwa miłości, ujawnionej w różnych systematach religijnych, prelegentka opowiedziała następnie, jak z biegiem czasu zatraciliśmy to poczucie i pod wpływem jakich czynników tak się stało, oraz dosadnie namalowała ponury obraz dzisiejszych w tej mierze stosunków, opartych na rozpuście i moralności podwójnej. Z dwóch prądów spółczesnych, zmierzających do uzdrowotnienia stosunków płciowych, ani dążenie do zupełnej wolności, ani abstynencya surowa nie zadowoliły prelegentkę. Tylko bowiem radykalna zmiana warunków życia kobiety na takie, w których podstawa jej bytu będzie podobnież, jak u mężczyzn, praca, tylko taka zmiana gruntowna zapewni kobiecie zupełne wyzwolenie, wytworzy normalne warunki płciowe, podniesie ideały i przywróci miłości jej dostojeństwo.

Dr. M. Bornsteinowa w naukowo opracowanym referacie o „Ekonomicznych warunkach pracy kobiet“ przytoczyła cały szereg wziętych wprost z szarego

życia codziennego przykładów strasznego wyzysku kobiet pracujących, podkreśliła powszechność tego zjawiska, oraz wskazała główne takiego stanu przyczyny. Jednym ze skutków tego właśnie ekonomicznego upośledzenia kobiet, jest panująca rozwięzłość obyczajności publicznej. (*„Ludzkość“*)

MOŻE ZAPOMMĘ.

Toczą się wody spienione, ogromne.
Rzucam kwiat — jeden z kwiatów mojej duszy,
Ha, niechaj wir go porwie, złamie, skruszy...
Może zapomnę, o, może zapomnę.

Płynie rzucony ręką półbezwiedną,
Ciemna krwi kropla ze sznura korali,
Nieznana plama na nieznanej fali...
Płynie w dal, listki pod pianą mu bledną.

Łoskot wód trwogą przejmuje mię, głuszy...
Kwiat mój — czyż teraz nic go nie ocali?
Może się rzucić do tej mętnej fali,
I wyrwać z głębi ten kwiat mojej duszy?

Śledzą go oczy błędne, nieprzytomne...
Maleje, blednie, niknie i odpływa —
Coraz się bardziej wichrzy rzeki grzywa...
Może zapomnę, o, może zapomnę.

Maryla Czerkawska.

Z BALLAD TATRZAŃSKICH.

PUSTY DOM.

...W księżyca blach
Srebro odziany,
Widmowy gmach
Śpi w nocnej ciszy,
W pluszczącym szumie płaczącej fontanny,
Tak monotonnym, jakby pacierz mniszy...
A oczodołów okien czarnych jam
Ten śpiący sfinks nie zamyka...
Dumy-tytany
Kołyszą sennie świętych Tajnic chram...
Ognistowłosa Djana-Berenika

Rzuca w Tatr mrok
Srebrne płomienie,
Planeta-yog,
Somnambulica...
Na miękki trawnik tajemnicze cienie
Padają, srebro się leje księżyca...
Hen! w czarnem oknie stanął biały duch
Pustego domu Ushera,
Trupie zjawienie,
Krew żył mrożące... Płacz fontanny zgłuchł,
W zduszonych łkaniach powoli zamiera...

Śni pusty dom,
Szkielet drewniany,
Ostatnie Om
Grozy poe'oskiej!...
Światło księżyca, zielonawe ściany
Opływa sennie, płomieni zdrój boski
Chłodnych, widmowych, jak wulkanu law,
Od dawna już wygasłego,
Widma – omiany,
Jak mgły widmowe, które ślepy traf
Rozelśnił trupio, gdyż one wrót strzegą,

Tajemnych wrót
Grobowca gmachu,
Gdzie śmierci wchód,
Duchowej dżumy
Obłąkańczego, upiornego strachu,
Gdzie opętanych, białych duchów tłumy,
Pośród stęchlizny opuszczonych sal,
W widmowem świetle księżyca,
W popłochu krachu,
Sprawiły sobie potępieńców bal!...
Ich gzom blask-chwiejny pajęczyn przyświeca!...

Przed siebie gna,
Pijana grozą,
Upiorów ćma,
Widm maskarada!...
Próchnowe ślepia Dulcynej z Toboso...
Piekielnych twarzy groza trupioblada,
Hjenich uśmiechów potępieńczy lud,
Trupiego flirtu zaduchy,
Jak gdy powiozą
Kogoś w katakumb stęchły, trupi chłód,
A on się jeszcze pali do Kostuchy!...

Umarłych szał,
Lodowy, trupi,
Przed siebie gnał,
Po pustych salach,
Jak ból, gdy się już w obłęd zaskorupi,
Kiedy już rozpacz zaciąży na szalach!...
Polski karnawał trupi dziko łka!...
Czy znasz ty trupie zapusty?...
A głupi, głupi!...
W oczach upiora Maćka błysła łza!...
Nic, jeno wrzawa!... nic, jeno śmiech pusty!...

Ach, co za ból!...
Zdrajcy, Rejtany,
Pachnący król,
Bar, Targowica —
Runął w tan dziki kłąb duchów splątany,
W upiornem świetle trupiego księżyca!...
Świętego Wita opętańczy szał
Błędny ten tłum gna przed siebie,
Ból krwawej rany
I rozpacz morza, grzmiącego wśród skał,
Co pluje pianą po otchłannem niebie!...

Pluje do gwiazd
W dzikiej rozpaczy
War wszystkich kast,
Ta ludzka Babel!...
Wybuchy tańca męczeńską krwią znaczy!...
Błysnęła srebrna zawierucha szabel,
W oczach palące, krwawe błysły łzy
Późnego żalu, pokuty,
I ból tułaczy...
I krwawe piętno hańby jarzma lśni...
I dziko świszczą krwawe, carskie knuty!...

Kipi ten war,
Ten odmęt grozy
W który ból wżarł
Kleszcze polipie,
Nim w dzikich torsjach lodowej hypnozy
Okamienieje na Ojczyzny stypie!...
Gna wojewodów, kasztelanów tłum,
Króle, hetmany, biskupy!...
Swiszczą powrozy!...
Białych upiorów zamogilny szum...
Na grobie Polski tańczą żywe trupy!...

Tańczą: hoc! hoc!...
Wrzawa, śmiech pusty!...
Księżyca moc
Czarem ich trzyma...
Czy znasz ty trupów gnijących zapusty?...
W lodowy uścisk wzięła Tatry zima...
Ich kontur w gwiazdach lodowcowo lśni...
Wieją widmowe sztandary,
Jak krwawe chusty...
Białego Orła-Weroniki łzy
Płoną jak widmo przekleństwa i kary!...

Fontanno, płacz,
Gdy Jeremjaszy,
Czy innych zacz
Wielkiego dzwonu
Proroków, zbrakło, gdy tylko wichr straszy,
Gdy nad wodami piekła Babilonu
Harf oszalałych nie rozbrzmiewa jęk,
Gdy duchy w jarzmie nie wyją,
Lecz z hańby czaszy,
W minionej chwały zasłuchane brzęk,
Nasenny trunek obłąkańczo piją!...

Zakopane. *Wacław Wolski.*

SROKA.

„...Pęknie, czy nie pęknie?... Pęknie, czy nie pęknie?..." — drą się czarne wrony, które obsiadły biały krzyż przy drodze, myśląc o srogiej zimie.

„...Bodaj ci biały brzuch pękł!" — zakrakał nagle zupełnie głupio wielki, wychudzony gawron i na rozczapiżonych, czarnych skrzydłach poderwał się ku górze.

Małe, szare wróble obsiadły tłumnie strzechę i milczą.

— Ej, zła musi być zima, jeśli one, te gadatliwe szczebiotki poddaszy, w żałosnej ciszy tulą się do siebie nasrożone. Zamrzeć pewno przyjdzie wszelakiemu bożemu stworzeniu wśród tych niesłychanych, gnębiących mrozów.

I to odkąd... Nikt już przypomnieć nie może błogosławionych dni ciepła. Straszny lampion chłodnego słońca patrzy bezdusznie swem jarzącem ślepiem na świat.

Ani jedno serce, zda się, nie zachowało nadziei. Wymarła. W te długie, długie noce, kiedy mróz wysusza ściągnięte głodem żołądki.

I wszelki twór czeka śmierci.

Rychlej... o, rychlej...

Nad szczyt smukłego modrzewia z osiwiałemi soplami wiotkich gałązek, nadfrunęła młoda sroka. Załopotała skrzydłami, zwisła, zniżając się ku szczytowi drzewa.

Siadła.

Takie głupie stworzenie — sroka.

Oczki czarne wypatruje — tu — tam, oczkami-tarkami biega... Dziubek otwiera, zamyka, widocznie się czemuś dziwuje.

Zapatrzały się w nią wróble, czekają.

Podniosła nóżkę, pół-białe, pół-modre skrzydełka strzepuje, hybce się, ej chyba radośnie...

Wróble się dziwią.

Nagle z gardziołka głupiej sroki jęły się dobywać głosy, szczebiot, ćwierkanie... prawie śpiew.

Śmieszny, fałszywy, skrzeczący, ale zawsze...

Aż pęcznieje cała i drży od wzruszeń nieznanych, co ją nagle przejęły...

Szara czereda u strzechy zgorszona.

„...Głupia, głupia sroka...“ Policzkiem, obelgą dla cichej powagi tych żałosnych dni jest owo ćwierkanie.

Zgrzytliwy śpiew sroki pada jak dysonans w ponury nokturn oczekiwanej śmierci.

„...Milcz, milcz, milcz!“ — jednym głosem zazbyrczały ją rozbudzone wróble. Szare towarzystwo odzyskało wymowę. Poczęło nahalnie, hałaśliwie drwić z nieudałego koncertu, smagać oburzeniem niewczesną śpiewaczkę...

Ot — napadło ją...

Zawstydzona i spłoszona przez nieoczekiwanych słuchaczy, co jej wydarli z serca tajemne wzruszenie, poderwała się sroka, strzepując strugę białych, lśniących pyłków i uleciała w dal.

Przez chwilę chwiała się gałąź modrzewia, dzwoniąc o się przejrzystymi soplami lodu, które, jak skamieniałe łzy żalu, zwisły z igieł... potem znieruchomiało wszystko, trwając jak martwe w zabójczej atmosferze mrozu.

Gwarne wróble sfrunęły niżej, chowając się pod okap stodoły i radziły do późna o szaleństwie sroki, co chciała dać wiosenny koncert.

A ona, głupia sroka, leciała radośnie, zrzuciwszy z serca przykrość doznanej wzgardy i żal... oh, zapomniała o wszystkiem, bo tam... tam... wysoko, na szczycie drzewa, dojrzała pierwsza, uczuła coś... coś...

„Głupia sroka... Głupia... głupia...“ szczebiotało z chałaśliwą złością szare towarzystwo ptasie...

— —

Ale w nocy zwilgła lodowa skorupa na zaspach śniegu, przyszedł pierwszy ciepły, nieoczekiwany wiatr.

Rzeźwy powiew zatargał zmartwiałą powłokę ziemi, drzewa i krzewy napełnił budzącem tchem.

I oto w tydzień potem, wśród szalonych roztopów, południowe stoki wzgórz okwieciły żółte oczka pierwiosnków, pierwszy wolny od śniegu kawałek ziemi...

Odradzające się znowu życie pulsowało w konarach i gałązkach, pełnego twórczych pędów modrzewia... Szła wiosna...

Może dojrzała ją głupia, młoda sroka, która odważyła się w taki straszny mróz wzbić na najwyższy szczyt drzewa...

El. Dąbrowska.

OD ADMINISTRACYI.

Dzisiejszy numer „Nowego Słowa" jest ostatnim w bieżącym kwartale, zwracamy więc uwagę zalegających z przedpłatą Prenumeratorów, że jest najwyższy czas wyrównać zaległości i wnieść prenumeratę na następujący kwartał.

Ciężkie warunki materyalne, z jakimi „Nowe Słowo", jak każde pismo ideowe, walczyć musi, sprawiają, że ogromnie nam utrudnia pracę jeżeli prenumeratę otrzymujemy nie według przyjętego zwyczaju z góry, lecz z dołu, jak to zwykle czyni się u nas „przez zapomnienie".

Zwracamy na to uwagę Przyjaciół i Zwolenników naszego pisma, prosząc zarazem o zjednywanie nowych Prenumeratorów, płacących z góry.

Przypominamy Prenumeratorom naszym w Królestwie Polskiem, że „Nowe Słowo" ma debit w państwie rosyjskiem i liczni nasi czytelnicy za granicą rosyjską, otrzymali **wszystkie** numera, które wyszły w tym kwartale **w całości.** Tam, gdzie zaszły pod tym względem niedokładności, jest wina stosunków miejscowych i prosimy za każdym razem reklamować.

Prenumeratę najlepiej przysłać przekazem pocztowym, który przy niniejszym dołączamy, wprost do redakcyi: Kraków, ul. Szujskiego 7.

Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie, Zielona 7.



Wydawczyni i Redaktorka: Marya Turzyma. Drukarnia Al. Rippera w Krakowie.